OBRAZKI I OPOWIADANIA.

Mieczysław Pawlikowski.

OBRAZKI I OPOWIADANIA

Z PRZEDMOWĄ

HENRYKA GALLEGO.

Czubaty
Rypin.

TOM II.

WARSZAWA.
Druk Józefa Sikorskiego, Warecka 14.

1904.

257345

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Сентября 1904 года.

TAJEMNICE PANI KRZUCKIEJ.

I.

W WAGONIE.

Było to w roku 187*, w miesiącu grudniu, czy listopadzie.

Jechałem koleją żelazną z królestwa Galicyi i Lodomeryi do Wielkiego Księztwa Krakowskiego. Zimno było dokuczliwe. Podniosłem do góry kołnierz moich szopów, barankową czapkę nasunąłem na uszy i ułożyłem się na ławce jak mogłem najwygodniej. Skurczywszy nogi, wciągnąłem je pod futro, głowę oparłem na skórzanej torbie i zacząłem drzemać. Prócz mego nosa i okularów na nosie, nie było mnie widać z pod futrzanego okrycia.

Sam jeden byłem w wagonie. W ten sposób jechałem kilka stacyj, wpół drzemiąc, wpół marząc.

Niepomnę na której stacyi, otworzyły się drzwiczki wagonu i dostałem towarzysza podróży. Był to młody, jakiś rosły mężczyzna w krótkim kubraku podbitym barankami, na który niedbale zarzucił szeroką bundę z bernardyńskiego sukna. Widocznie nie czuł zimna, które mnie srodze dopiekało. Twarzy jego nie mogłem się przypatrzeć, para z moich ust bo-

wiem, osiadając na okularach, zapociła je i zamarzłszy, uczyniła prawie nieprzezroczystemi. Nie spodziewałem się zresztą, aby tym towarzyszem podróży był znajomy, warszawianin, Mieczysław Elski, młody jurysta.

Chwilę jechaliśmy razem, nie mówiąc ani słowa, nagle Mieczysław, przypatrzywszy mi się bliżej, śmiejąc się, wymówił moje nazwisko.

Przetarłem okulary i poznawszy poczciwego Miecia, uścisnąłem serdecznie podaną mi rękę.

— Zaledwie cię poznałem. Prócz nosa i okularów, nie było cię widać w tych szopach.

— Nie trudno ci też było poznać ten długi nos i te okulary, których tyle narysowałeś się karykatur.

— Ha, ha! pamiętasz jeszcze? Dawne to czasy. Ślęczałem wówczas nad łaciną, a tyś był już na trzecim roku prawa. A dziś jam już doktorem praw... niezapominaj tytułować mnie doktorem... Jestem u adwokata, a za lat parę będę miał własne biuro...

— Ale winszuję ci doktorze, winszuję! Sława twoich rygorów doleciała aż do mnie. Słyszałem także, że twoja rozprawa „o rozwodach“ w świecie prawniczym zyskała ogromne pochwały. Winszuję ci z całego serca.

Miecio smutnie się jakoś uśmiechnął.

— Szczęśliwy jesteś—mówiłem dalej—świat ci teraz stoi otworem, życie ci się uśmiecha! A jak wybornie wyglądasz: zdrów, czerstwy, rumiany! A jaki ładny z ciebie chłopiec!... Teraz tylko ożenić panicza!

— Dajże pokój. Ani myślę.

Znów ten sam uśmiech smutny.

— To źle, że nie myślisz. Jabym cię zaraz wyswatał...

— A! to już widzę, że i u was w Galicyi zapanowała mania swatania. Ledwie umknąłem przed nią z Warszawy, a i tu nie dacie mi odetchnąć.

— Z kimże cię tam swatają?

— Matka chce mnie koniecznie ożenić z panną Seweryną S., zapewne jej nie znasz.

— Cóż to za panna?

— Dobre dziecko i ładne — ale mnie to ani w głowie.

— No, to możeś zakochany?

— Et, nie mówmy o tem. Powiedz mi lepiej, po co jedziesz do Krakowa?

— To ja raczej zapytać cię muszę, zkąd się wziąłeś w Galicyi?

— Bawiłem w Sabałówce u mego wuja, w Tarnowskiem.

— A no, to zapewne i pan Dezydery swoim zwyczajem musiał cię swatać ze wszystkiemi pannami w okolicy? I cóż, wracasz już teraz do Warszawy?

— Nie jeszcze. Jadę tylko na dni kilka do Krakowa. A ty?..

— Jadę w interesie mojej córki, która nabyła majątek od pana Waleryana Krzuckiego. — Mam się z nim zjechać w Krakowie...

Dziwny jakiś wyraz przemknął po twarzy mego przyjaciela, gdy wymówiłem to nazwisko.

— Czy go znasz?—zapytał.

— Doskonale. Dzieckiem byłem jeszcze, kiedy p. Waleryan bywał codziennym prawie gościem w domu mego ojca.

— W jakimże on wieku?

— Około pięćdziesięciu lat, co najmniej.

— Pięćdziesiąt!—zawołał ze zdziwieniem.

— Dlaczegóż cię to tak przestrasza?.. Tak, ma lat pięćdziesiąt, ale niktby się tego nie domyślił: zdrów jak ryba i wesół jak dwudziestoletni młodzieniec.

— Więc go znasz zblizka? Cóż to za człowiek?

— Najzacniejszy w świecie. Rubaszny nieco, ma może niejednę śmieszność, ale kto go bliżej pozna, musi go poważać... Ale czemuż tak się dopytujesz o niego?

— Bo znam jego żonę i dziwię się, że za niego poszła.

— Czemu?

— Bo to prawie dziecko, lat dwadzieścia — a już od dwóch lat zamężna... Ha! ojciec kazał — musiała. Czy jej nie znasz?

— Nie znam dotąd, a wielce jestem ciekawy ją poznać, bo mi o niej mąż opowiadał, jak o ósmym cudzie świata. Zakochany jak młokos.

— Nie dziwię się. Ah, bo też piękna! przecudownie piękna! A jaki rozum! jakie wykształcenie!

— No, no, coś bardzo w zapał wpadasz. To mi się podejrzanem wydaje. Czy nie miłość studencka?

— Studencka? nie, ale dziecięca. Dziećmi bawiliśmy się razem. Po całych dniach przesiadywałem w domu jej rodziców, bawiąc się z nią i z jej braćmi tak, jakbym należał do rodzeństwa. A później, gdyśmy podrośli oboje...

— Cóż później?

— Zdawało nam się jeszcze, żeśmy rodzeństwem.

— Ale zapewne nie obojgu. Tobie niezawodnie przyszło na myśl, że taka siostra mogłaby zostać żoną.

— Nie przeczę, nie przeczę, ale nie indaguj mnie... w samej rzeczy jeślibym się był kiedy ożenił—to z nią.

— Ho, ho! a teraz myślisz umrzeć w celibacie. To widzę miłość naprawdę!.. Miłość, a może i romans? A po ślubie, czy ją widziałeś?

— Co tobie za myśli przychodzą! Widziałem ją w Krynicy przeszłego roku—ale tak, jakbym nie widział... bo tylko pół godziny. Odjeżdżała właśnie tego dnia, którego ja przyjechałem.

— I przyszło do wyjaśnień: czemu, jak, dlaczego?

— Wcale nie. Nigdy między nami przed jej zamęściem nie było mowy o miłości, to i do wyja-

śnień nie było powodu—czemu za mąż poszła. Zapewne, gdybym nie był wyjechał z Warszawy na uniwersytet—stałoby się inaczej...

— A więc to miłość milcząca i bez romansu? Czy tylko pewnie?

— Ależ pewnie! pewnie! Cóż to z ciebie za inkwizytor! Czy boisz się o domowe szczęście twego starego pana Waleryana?

— W istocie, bo go wysoko poważam i kocham prawie jak starszego brata, a patrząc na ciebie, żeś taki śliczny chłopak—krew z mlekiem, przypomniałem sobie jego ogorzałą cerę, szpakowate włosy... i smutno mi się zrobiło na sercu.

— Bądź spokojny! Ona pod Karpatami, a ja w Warszawie. A zresztą... jeśli z nim szczęśliwa... to mnie znasz przecież i nie wątpisz, żebym nie zamącał jej szczęścia.

Nastała dłuższa pauza w rozmowie. Zadumaliśmy się obaj. Łatwo było odgadnąć, o czem marzył mój przyjaciel. Co do mnie, przypatrywałem się szlachetnym a pełnym siły rysom młodzieńca, którego twarz pod wpływem falujących wspomnień takiego nabrała wyrazu, że za pochwycenie tej chwili najznakomitszy malarz chętnieby dzień życia ofiarował.

Zrzucił z głowy czapkę, jakby mimo kilkunastu stopni mrozu było mu gorąco. Bujne, czarne włosy, lśniące jak pióra krucze, zsunęły się na piękne czoło, na którem przelatujące myśli jawiły się i znikały w kształcie drobnych zmarszczek. Duże piwne oczy szczególną błyszczały tęsknotą. Po ustach, ozdobionych czarnym wąsikiem przemknął się czasem jakiś uśmiech bolesny. Mój doktór praw wyglądał nie jak jurysta, ale jak poeta.

Po chwili wstrząsnął głową, zarzucając w tył włosy, które mu się na czoło zsunęły, pochwycił mnie za rękę i zapytał spokojnym tonem:

— Powiedz mi, czy ona jest rzeczywiście szczęśliwa z tym starcem?

— Mój drogi, o ile znam p. Waleryana, sądzę, iż może być szczęśliwą, mimo takiej różnicy wieku. Obaczymy ich zresztą w Krakowie, to się przekonamy. Wszak to zaraz widać.

— O, to nie tak łatwo dostrzedz! Kobiety takie skryte.

Zamyślił się głęboko i dodał po chwili:

— Przedemną jednak nie potrafi się ukryć. Ja ją tak znam!..

— Wiesz co, mój Mieciu? — rzekłem, patrząc mu w oczy;—mnie się zdaje, że mężczyźni są skrytsi czasem od kobiet. Mimo twoich zapytań, które zdawałyby się świadczyć, że nie wiesz czy jest szczęśliwą, czy nie, miałbym ochotę posądzić cię, że przeszłoroczne wasze spotkanie w Krynicy... a nawet kto wie, czy i teraz się z nią nie widziałeś...

— Proszę cię, nie mów w ten sposób o niej! — przerwał mi oschłym tonem Mieczysław, widocznie urażony mem podejrzewaniem.

— Przebacz mi, nie miałem bynajmniej zamiaru ubliżenia jej, ani drażnienia twego uczucia. Uczucia takie są święte i umiem je szanować.

— Gdybyś ją znał, nie myślałbyś tak. Mnie i bez pytań łatwo będzie odgadnąć, co się w jej sercu dzieje — bo ją tak znam! Ty nie wiesz jakie to było dziewczę wesołe aż do pustoty, a jednak ile z tą wesołością łączyła rozumu i powagi w każdem swem zdaniu. Gdy się śmiała... a najpiękniejszą była, gdy się śmiała... mrużyły się figlarnie niebieskie oczęta, bielutkie jak śnieg ząbki błyszczały w różanej oprawie jak perełki — myślałbyś, że to dziecko rozswywolone... a takie przytem mądre słówka dzwoniły z tych usteczek, żeby się i niejeden uczony zawstydził.

— Wiesz co, mój doktorze, niesłychanie mnie zaciekawiłeś. Nie uwierzysz, jak pragnę poznać tę perfekcyę. Ale chociaż jesteś *vir doctus* czy *doctissimus*, nie mogę cię uważać za kompetentnego sędziego w tym względzie. Zanadto się unosisz.

— Spytaj kogo chcesz w Warszawie z tych, co ją znali, a każdy ci to samo powie o niej.

— Jakto? a obok tych perfekcyi, czyż żadnej w niej wady świat nie dopatrzył? Ej, powiedz szczerze!

— Cóż? Zarzucano jej upodobanie oryginalności w toalecie — dlatego, że na każdym wieczorze była ubrana inaczej od swych rówieśniczek — i zawsze od nich gustowniej, a zwykle fantastycznie. Nazywano to ekscentrycznością.

— No, to zazdrość panieńska. Ale nie mówię o stroju. W niej samej, w jej charakterze, czy nie dopatrzono żadnej wady?

— Powiem ci: żadnej! chyba to jedno mówiono, że Margerita zanadto dobrze wie o tem, że jest piękną. Ale któraż kobieta o tem nie wie!

— Małgorzata jej na imię?

— *Margerita.*

W tej chwili zatrzymał się pociąg. Stanęliśmy w Krakowie. Było około jedenastej zrana.

— Do którego hotelu zajedziesz? — zapytałem.

— Do Saskiego. Stańmy razem.

— I owszem, doktorze.

II.

W HOTELU.

Zajechaliśmy tedy przed hotel Saski.

— Czy są stancye wolne?

— Są panie, na drugiem piętrze, dwa pokoje.

— Obok siebie?

— Obok siebie, w kurytarzu.

— Proszę prowadzić.

Na schodach spotkaliśmy pana Krzuckiego. Ucałował mnie stary w oba policzki i zahuczał basem, powtarzając swoim zwyczajem końcowy wyraz każdego prawie zdania po dwakroć.

— O!. a! mój królu, przecież, przecie! A spóźniłeś! My tu już od wczoraj. A spieszy nam się, spieszy. Chcielibyśmy jutro wyjechać. No, oczywiście, jeśli skończymy nasze interesa...

— Tak państwu na wieś spieszno? Mrozy straszne, aż dusza w człeku krzepnie.

— Nie, nie. My do Wiednia, do Wiednia... Ale chodź do nas prosto — na herbatę, na śniadanie.

— Przebiorę się i zaraz państwu będę służyć.

— Ceremonie! niepotrzebne!... A zresztą żona moja zapewne ci się nie pokaże, bo chora...

— Cóż jest pani?

— Nic, nic tak złego, fluksia, *mumps*.

— Bardzo nam będzie przykro obydwom, gdyby nas ominęła sposobność widzenia pani; mój towarzysz chciał bowiem także państwu złożyć uszanowanie, jako dawny znajomy pani dobrodziejki: Elski z Warszawy, mój przyjaciel! Pan Krzucki!

Mieczysław, który zatrzymawszy się wraz ze mną na schodach, przysłuchiwał się naszej rozmowie, ukłonił się przy tej prezentacyi, czekając na podanie ręki. Krzucki oddał ukłon dość chłodno, wbrew swojej zwykłej rubasznej serdeczności. Zdawało mi się nawet, że z pewną niechęcią spojrzał na Mieczysława. Wycedził jednak przez zęby konwencyonalno-szlachecką jakąś grzeczność, że mu „bardzo miło“, czy że się „cieszy“ i dodał:

— A zatem czekam, czekam panów. Do widzenia, do widzenia.

— Do widzenia!—i przyspieszając kroku za kelnerem, który dawał znaki niecierpliwości, pociągnąłem za sobą Mieczysława:

— Chodź doktorze!

Krzucki, który schodził ze schodów, przy tych słowach raz jeszcze się obejrzał, a zadziwiony wyraz twarzy, z którym spojrzał na Mieczysława, nie uszedł mojej uwagi.

Przyszedłszy do przeznaczonego nam, a dobrze ogrzanego mieszkania, zrzuciliśmy z siebie futra, kazaliśmy usunąć szafę, zasłaniającą drzwi przedzielające nasze pokoje — i otworzywszy kuferki, które tymczasem przyniesiono, zabraliśmy się do uporządkowania naszej toalety.

— Gdzie tu mieszkają państwo Krzuccy? — zapytałem odchodzącego kelnera.

— Na pierwszem piętrze — na tym samym kurytarzu, ot właśnie pod stancyami WW. Panów, piąte drzwi na lewo.

Zanim zdołaliśmy się przebrać, godzina upłynęła cała.

— Czy zawsze się stroisz z taką starannością?— zapytałem Mieczysława, widząc go pomadującego przed zwierciadłem czarne swe wąsiki, wyciągającego z pod rękawów nakrochmalone mankiety i poprawiającego po raz dziesiąty szafirową krawatkę.

— Dziwne pytanie! — odrzekł, wstrząsając głową.—Wszak idąc do kogoś z pierwszą wizytą, ubrać się wypada porządnie. Jużem gotów.

Lekki rumieniec przemknął mu po twarzy.

Zeszliśmy na pierwsze piętro.

— Czy uważałeś—rzekł Mieczysław, idąc ze mną długim kurytarzem—czy uważałeś, jaką ten twój pan Waleryan dziwną minę zrobił przy tej prezentacyi na schodach? Tak wyglądał, jakby moje nazwisko pierwszy raz w życiu obiło mu się o uszy. A przecież niepodobna, aby mu żona nigdy nic o mnie nie wspomniała! Widocznie nie lubi dawnych znajomych swej żony.

— O ciebie można być wprawdzie zazdrosnym, ale ja wątpię wogóle, aby Krzucki był skłonnym do zazdrości. Przywidziało ci się zapewne.

— O nie! obaczysz... Ale to już tutaj: piąte drzwi na lewo...

III.

ŁZY I RUMIEŃCE.

Pan Waleryan przywitał mnie ze zwykłą serdecznością, Mieczysława zaś z widocznem zakłopotaniem. Pani Krzuckiej nie było w pokoju, a gospodarz zapowiedział, że jest tak cierpiącą, iż z żalem odmówić sobie musi przyjemności poznania jednego z najlepszych przyjaciół swego męża. O Mieczysławie nie było wzmianki w tej stereotypowej grzeczności, a to pominięcie go milczeniem, już samo przez się za niegrzeczność uchodzić mogło. Łatwo było dostrzedz w jego twarzy, że to uczuł.

Herbata stała na stole. Gospodarz, pełniąc obowiązek gospodyni, nalał nam ją do filiżanek i zaczęła się rozmowa nie pomnę już o czem, wiem tylko, że co kilka słów się urywała.

Zdawało mi się, że najlepiej zrobię, przystępując do wyłuszczenia interesu, który mi powierzyła ciotka. Okazało się wkrótce, ze załatwienie całej tej sprawy żadnym wcale nie podlega trudnościom, a pan Waleryan oświadczył z własnej chęci gotowość nienalegania na wypłatę resztującej kwoty z ceny kupna tak długo, dopóki nieuzasadniona pretensya, na sprzedanym majątku prenotowana, z tabeli wykreśloną nie zostanie. Tego właśnie żądała moja ciotka. Prosiłem tedy tylko pana Waleryana o pisemne oświadczenie w tej mierze na co bez oporu się zgodził. Interes w przeciągu dziesięciu

minut został załatwiony i znowu nie stało nam tematu do rozmowy.

Kilka razy zagadnął pan Waleryan coś o gospodarstwie, to znowu o zamierzonej podróży do Wiednia; kilka razy zacząłem coś o ostatniej powieści Kraszewskiego i o spodziewanej zmianie ministeryum: kilka razy Mieczysław odezwał się ni w pięć ni w dziewięć o warszawskiem dziennikarstwie i o Saskim ogrodzie—ale nitka rwała się co chwila.

Wtem otworzyły się drzwi przyległego pokoju i weszła pani Waleryanowa.

Była to osoba cokolwiek więcej, niż średniego wzrostu. Elegancki, szafirowy jedwabny szlafroczek opinał aż pod szyję prześliczny biust, prawdziwie klasycznych kształtów. Czarne jedwabne szamerowanie na piersiach zwężało się ku talii, szczupłej jak u czternastoletniego dziewczęcia, a uwydatnionej jedwabnym lśniącym sznurem, którego końce, ozdobione chwastami, spadały aż poniżej kolan. Niżej, z pod szlafroczka ukazała się przecudnej małości nóżka w czarnym prunelowym buciku.

A główka?—Na wpół rozplecione i przewiązane szafirową aksamitką jasno-popielate włosy, spadały olbrzymią złocistą kaskadą na jej ramiona i plecy aż poniżej talii. W górę zaczesane z przodu, odsłaniały one głaciuchne czoło alabastrowej białości, z pod którego przejrzystej powierzchni przeglądały drobne żyłki, cieniujące się co chwila inaczej, to wyraźne, to znów ledwie dostrzegalne. Jak zwierciedlące się na tle jeziora chmurki, przelatywały te odcienia po jej czole gdy mówiła, a pod kształtnym łukiem brwi, ciemniejszych cokolwiek od włosów, jaśniały z po za długich rzęsów dwa duże jasno-niebieskie światła, prawdziwie olśniewającego blasku... Jako owe wszechwładne fale niewidzialnej siły płynącej z rąk magnetyzera, o których mówią jasnowidzący, tak uderzyły cię jej spojrzenia. Czułeś, że oprzeć się im niepodobna.

Na oczach musimy poprzestać... Greckiego noska, różanych ust, figlarnych dołków w policzkach i owych prześlicznych ząbków ze słoniowej kości, nad któremi tak się unosił Mieczysław i rozkosznego podbródka i szyi z kararyjskiego marmuru nie dozwolono nam było ujrzeć i podziwiać tym razem. Zazdrosna fluksya, o której wspominał pan Waleryan, skłoniła panią Margaritę do ukazania nam się z twarzą przesłonioną złożonym w kilkoro mięciuchnym woalem z *crêpe-de-Chine*, w ten sposób, jak się ukazują zwykłym śmiertelnikom mieszkanki serajów, zakwefione po same oczy.

Drobną, bieluchną rączką, którejby się kształtu i Canova nie powstydził, przytrzymywała pani Margerita z pewną kokieteryą tę zasłonę. Na palcach błyszczało kilka brylantowych pierścionków.

Piękną była pani Margerita! Trzebaby zebrać w jeden obraz, zestrzelić w jeden wyraz te wszystkie szczegóły, nad któremi rozpisaliśmy się szeroko nieudolnem naszem piórem, aby pojąć, jak była piękną! Ekscentryczne zakwefienie więcej jeszcze uroku dodawało jej piękności.

Zbliżyła się ku nam i podała rękę Mieczysławowi, wstrząsając nią w sposób, jaki przystoi kobietom wobec bardzo blizkich tylko znajomych.

— Poznałam pana po głosie. Mąż mój powiedział mi, że ma być u nas doktór Elski, sądziłam, że to ów lekarz — krewny pański, którego zaledwie znam. Mężu—mówiła dalej, zwracając się do pana Waleryana—to jest pan Mieczysław Elski, o którym tyle ci mówiłam...

— A! ja nie wiedziałem, nie wiedziałem!.. dalipan! — i śmiejąc się grubym głosem pan Waleryan uścisnął oburącz Mieczysława, przybliżając jakby dla tem większego uwydatnienia kontrastu, siwe swe szczotkowate wąsiska do czarnych wąsików Mieczysława, a twarz ogorzałą i pomarszczoną do jego rumianej, jaśniejącej świeżością młodzieńczego zdrowia i siły.

Mieczysław chłodno jakoś i ceremonialnie odwzajemnił tę rubaszną serdeczność poczciwego hreczkosieja.

Pani Margerita, chcąc zapewne odwdzięczyć mężowi serdeczność okazaną wobec Mieczysława, wyciągnęła ku mnie rękę, nie czekając na prezentacyę.

— Od kiedym zamąż poszła, pragnęłam poznać pana i śmiem uważać go już nietylko za przyjaciela Waleryana—ale nas obojga. Wszak mogę się spodziewać, że pan część tej życzliwości, którą okazywałeś zawsze mojemu mężowi, zechcesz przelać na mnie.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć na ten nieco wymuszony, ale płynnie wypowiedziany komplement: uścisnąłem podaną mi rączkę serdeczniej może niż należało—i chciałem wybąknąć jakiś tuzinkowy frazes, gdy pani Krzucka przerwała:

— Przebaczcie panowie, że przyszłam tu w tym dziwacznym kostyumie, ale twarz mam tak spuchniętą... nawet mówić wyraźnie nie mogę...

— Wdzięczni być tylko możemy, że pani raczyła nam się ukazać, mimo fluksyi! — zdobyłem się na nieszczególny komplement.

Pani Margerita znowu mi przerwała:

— Ale wszak to pan, jeżeli się nie mylę, także i z panem Mieczysławem w przyjaźni? Czemuż pan go memu mężowi przedstawiłeś jako doktora? Czy to może tylko nieporozumienie?

— Nie, pani. Być może, żem Mieczysława nazwał doktorem, bo jest nim w samej rzeczy — nie doktorem medycyny wprawdzie—ale doktorem prawa i sam dziś rano żądał odemnie, abym go tytułował doktorem.

Pogroził mi Mieczysław palcem za tę ploteczkę, która widocznie ubawiła panią Krzucką, bo odtąd ciągle go zwała doktorem, a nawet pan Waleryan poszedł za jej przykładem.

— Jeżeli mi pani ten tytuł nadaje — żartował

Mieczysław — to pozwól, abym ją wziął w kuracyę. Znam doskonały środek na fluksyę...

— Ho, na ból zębów to każdy chce być lekarzem! — zaśmiał się basowym głosem swoim pan Waleryan—i dodał:—E, to nic, to minie wkrótce, to zwykły *mumps! mumps* i nic więcej!

Pani Margerita rzuciła na męża spojrzenie jakby zniecierpliwienia. Zdawało mi się, żem dojrzał przelotny rumieniec na twarzy; być może, że się zawstydziła przed nami za ten śmiech rubaszny męża.

Mieczysław patrzył w nią jak w słońce — ale smutnemi jakiemiś oczyma. Rzecz dziwna, mimo szczerej mej życzliwości dla pana Waleryana, przemknęła mi w duszy ta myśl, jak piękną oboje młodzi stanowiliby parę—a jak niedobranem jest dzisiejsze stadło.—Zdawało mi się, że oczy Margerity spotykają się często z oczyma Mieczysława, równie smutne, jak jego i pełne tajonego jakiegoś cierpienia... Gdzież owa wesołość pani Krzuckiej: o której mi tyle mówiono? Usta wprawdzie zasłonięte — ale przecież nietylko usta śmiać się mogą — piękniej jeszcze od ust śmieją się oczy pięknych kobiet, a jej oczy ani razu nie zabłysły uśmiechem. To melancholijne, powłóczyste spojrzenia, to znowu chwilami niema jakaś zaduma, toż to ma być figlarna pustota naiwnie rozswywolonego dziewczęcia, która najpiękniejszym miała być jej wdziękiem? — To były uwagi, które mi się mimowoli nasuwały w ciągu tej wizyty.

— Czy dawno pan widziałeś moich braci? — zapytała Mieczysława pani Krzucka. — Marcysia nie widziałam już dwa lata.

— Z Marcysiem widziałem się przed odjazdem z Warszawy, temu trzy tygodnie. Nie uwierzyłaby pani, jak się zmienił. Zmężniał, rozrósł się, opalił się na wsi; wyrosły mu wąsy. Nie poznałaby go pani.

— I on by mnie może nie poznał! — szepnęła pani Krzucka w zadumaniu jakby sama do siebie, oczy jej zaszły jakąś mglistą powłoką.

Wypadało zaprzeczyć. Mieczysław jednakże nie zdobył się na to. Nie wiem, o czem myślał, ale wzruszenie pani Margerity widocznie nie uszło jego uwagi. Spostrzegł je i p. Waleryan.

— Dziecko, dziecko!—zahuczał, czując się i pocałował żonę w czoło.

— Wistocie — rzekł Mieczysław po chwili, niby żartem, a jednak z cierpką jakąś w głosie ironią — kto panią znał dawniej i podziwiał żywość jej temperamentu, zdziwiłby się zmianie usposobienia, tak pani... spoważniała.

— O nie, panie Mieczysławie! — zaprotestował małżonek, jakby urażony. — Mylisz się pan! Margosia zawsze taka wesoła i taki trzpiot, jak dawniej. To tylko dzisiaj tak. *Mumps*, *mumps* i nic więcej. Trudno śmiać się, jak zęby bolą... prawda, Margosiu?

— Prawda, to tylko teraz, to minie—powtórzyła za mężem pani Krzucka i już nie przelatujący obłoczek, ale wyraźne łzy zasłoniły na chwilę źrenice. Lecz nagle zdobywając się na jakąś nienaturalną energię, dodała z niezręcznie udaną wesołością:

— O tak! weselszą jestem i stokroć większy trzpiot niż dawniej... nieprawdaż, mężusiu?... Nigdyś mnie pan nie widział tak wesołą, panie doktorze, jaką teraz bywam... bom tak szczęśliwą nie była, jak jestem...

Niezasłonięta część twarzy, a potem czoło i skronie oblały się rumieńcem. Na Mieczysława padło spojrzenie pełne wyrzutu i z kokieteryą obróciła główkę do pana Waleryana.

— Moja kotko, Margosiu! — czulił się basem pan Waleryan i głośnem cmoknięciem w czoło swej małżonki zamanifestował wdzięczność swoją za daną mu w ten sposób pochwałę.

Pani Margosia zamiast odpowiedzi na tę czułość, poprawiła szal, którym była osłoniętą.

— Cóż, bolą cię ząbki biedaczko, bolą?—użala się nad nią małżonek, jakby nam chciał usprawiedliwić jej wyraz pełen smutku, tak sprzeczny z za-

pewnieniem dopiero co wygłoszonem, że jest najszczęśliwszą w świecie.

Pogadanka o fluksyi toczyła się błędnem kołem i widocznie niecierpliwiła panią Margeritę.

— Czy pani zawsze jeszcze tak namiętnie lubi jazdę konną?—zapytałem, chcąc rozmowę skierować na inny przedmiot.

Niespodziewany skutek wywarło to moje niewinne pytanie. Widzialna część twarzy pani Krzuckiej spłonęła rumieńcem, a oczy zdradzały jakieś niezwykłe pomieszanie.

— Czy panu wiadomo o tem?

— Mąż pani mi mówił...

— Tak, tak, ona lubiła, lubiła—odezwał się pan Waleryan—ale...

— Ale mąż mój nie lubił i wyrzekłam się tej przyjemności na zawsze...

Nowe rumieńce okryły jej czoło, łzy zabłysnęły w oczach.— Niepojęta rzecz.— pomyślałem—o czemkolwiek zacząć rozmowę, kończy się na łzach i rumieńcach. Widocznie nie przedmiot temu winien, ale inna jakaś nieznana mi przyczyna.

Szukając rozwiązania tej zagadki, spojrzałem na Mieczysława. Wydał mi się dziwnie pomieszanym, a twarz mu płonęła, jakby przy ogniu bengalskim. Czyżby oni rozmawiali z sobą oczyma? Czy biorąc udział w rozmowie z nami o fluksyi i o jeździe konnej, może intonacyą głosu, rzutem oczu równocześnie rozmawiają z sobą wcale o czem innem? Czy może z każdym przedmiotem rozmowy łączą się dla nich drogie jakieś wspomnienia, które im na twarz wywołują rumieńce, a z oczu łzy wyciskają?

— W samej rzeczy... tak, tak, jazda konna— prawił p. Waleryan — to nie dla kobiet rozrywka... no, tak, trochę, to nie zaszkodzi... ty to tak lubisz! czemubyś nie miała jeździć? byle w miarę, byle w miarę!... Ho, bo to Margosia do koni taki zuch!... nie tak, jak ta młodzież dzisiejsza... Ta nasza młodzież nie tęga do konia, co nie, to nie! dalipan!... Na pa-

ragrafach *mój królu*, to tak jedziecie *non plus ultra* panie doktorze, ale co munsztuk, a co tręzla, to tam nie wiecie... nie wiecie... ho, ho! Margosia.

Nie pomnę, co Mieczysław na te zarzuty odpowiedział. Wiem tylko, że w rozmowie brała udział pani Krzucka, natrącając coś o dawniejszem rycerskiem wychowaniu młodzieży i o dzisiejszem, które nazwała „papierowem“. Mieczysław utyskiwał na zaniedbywanie ćwiczeń fizycznych w naszym systemie wychowawczym, p. Waleryan wyjaśniał mu z wielką znajomością rzeczy stan obecny szkół galicyjskich, a pani Margerita od czasu do czasu dorzuciła do rozmowy jakieś zdanie, zawsze nader trafne, a częstokroć nawet tak wytrawne, że niepodobna ją było słuchać i nie podziwiać niezwykłego w jej płci i w jej wieku rozumu i wykształcenia.

Co do mnie, tyle tylko brałem udziału w tej konwersacyi, o ile przyzwoitość tego koniecznie wymagała. Uwaga moja była gdzieindziej, cała zajęta śledzeniem owej drugiej rozmowy bez słów między dwojgiem młodych ludzi, której poczciwy pan Waleryan nie zdawał się spostrzegać, a która mnie wielce niepokoiła. Żal mi było zwodzonego, żal mi było również zwodzonych, a że podejrzenia moje były prawdziwe, to stało się już dla mnie niemal pewnikiem.

Pani Waleryanowa kilkakrotnie wpadała w jakąś zadumę i cuciła się z niej nagle, a w sposób, dający tem więcej do myślenia, Mieczysław ciągle był roztargnionym; nie trzeba było psychologa, aby dostrzedz, że mówi o czem innem, a o czem innem myśli.

Wreszcie powstała pani Krzucka z kanapy i pożegnała nas podaniem ręki, usuwając się do swego pokoju. Mieczysławowi poleciła pozdrowić znajomych w Warszawie, a mnie wyraziła nadzieję częstszego widzenia się za powrotem z Wiednia, dokąd jutro rano na dni kilka wyjeżdża z mężem.

— Spodziewam się obaczyć państwa jeszcze jutro, wątpię bowiem, aby pani zdecydowała się wyjechać w takie mrozy, będąc cierpiącą.

— O, wyjeżdżamy. Musimy wyjechać koniecznie.

— Interesy! ważne interesy!... — zawtórzył basem pan Waleryan.

Znając od dawna pana Waleryana i wszelkie jego stosunki, wiedziałem, iż nigdy do Wiednia nie jeździł i żadnych tam interesów nie miewał. Do wszystkich zagadek tego dnia przybyła ta nagła podróż za granicę.

Czas i nam już było pożegnać pana Waleryana. Uściskał nas obu z równą serdecznością, całując kilkakrotnie mnie i Mieczysława, któremu przy tych uściskach staroszlacheckich twarz się rumieńcem oblała, nic wiem czy rumieńcem wstydu, czy tajonej nienawiści.

IV.

CHMURY.

Wracając do naszego mieszkania — milczeliśmy oba, każdy pod wpływem innego uczucia, lecz oba rozstrojeni. Mieczysław rzucił się w fotel, marszczył czoło, gryzł wargi i targał swoje wąsiki, to znowu kręcił w palcach pukiel swoich włosów, szarpiąc je niemiłosiernie; zakładał nogę na nogę, lewą na prawą, to znowu prawą na lewą i nie mógł sobie dobrać dogodnej pozycyi. Ja zapaliłem papierosa, stanąłem w oknie i zacząłem bębnić palcami w szybę, jak człowiek, który jakąś myśl natrętną zagłuszyć pragnie, lub chce się wyrwać z bezprzedmiotowej zadumy.

Mieczysław wstał nagle z krzesła, przeszedł się kilka razy po pokoju szybkim krokiem, a potem zbliżył się do mnie, pochwycił moją dłoń i gorąco ją ściskając, patrzył w oczy, jakby żądał dowodu współczucia lub słowa pociechy. Łzy mu zaświeciły w rzęsach, zasłonił ręką powieki i złożył czoło na mem ramieniu.

— Ona jest nieszczęśliwą!—wyszeptał stłumionym głosem.

Nie śmiałem przeczyć. Czułem całą prawdę tych słów. Żal mi się zrobiło Mieczysława: tyle boleści i rozpaczy było w jego głosie i twarzy, w całej jego postaci. Szanowałem tę boleść i milczałem. Ale tyle tylko uczynić mogłem wobec mych podejrzeń, które coraz wyraźniejsze przybierały kształty.

— Ah, ty nie wiesz—mówił Mieczysław ze wzrastającem uczuciem, chwytając się oburącz za głowę, jakby chciał przytłumić w skroniach gwałtownie bijące tętna—ty nie wiesz, co się we mnie dzieje! Ty pojąć nie zdołasz, co się we mnie działo, widząc te jej oczy pełne łez, ten smutek głęboki na czole!... Ona, ona, niegdyś jak dziecko wesoła, jak ptaszę swobodna! Trzeba ją było znać wprzódy, aby osądzić, jaka straszna zaszła zmiana, jaka przepaść dzieli jej przeszłość od teraźniejszości!... Gdyby tu choć miała kogo ze swoich! Gdybym ja tu mógł być!... Gdyby choć jedna dusza pokrewna, którąby ją rozumiała, przed którąby zwierzyć się mogła i wypłakać! Byłoby jej lżej! Ale przykuta do tego starego bałwana... oh, to nikczemnik!...

— Mieczysławie — przerwałem surowo — przestań. Wiesz, że Waleryana poważam i kocham. Nie chcę, abyś tak o nim mówił, nawet w szale... bo nie masz prawa do tego. Jesteś w gorączce. Stan twój może wiele tłómaczyć i niejedno przebaczyć ci można... ale wszystko ma swoje granice.

Mieczysław skrzyżował ręce na piersi i słuchał z szyderczym uśmiechem.

— Krzucki—mówiłem dalej — ma swoje śmieszności. Być może, że zrobił niedorzeczność, żeniąc się w swoim wieku z młodem dziewczęciem, ale nie nadaje to jeszcze nikomu prawa zwać go bałwanem, a tem mniej nikczemnikiem. Mimo swoich śmieszności, jest on perłą obywatelstwa w swojej okolicy. Obyśmy tu takich „bałwanów“ wielu mieli między szlachtą wiejską w Galicyi! To człowiek trzeźwego zdania, zdrowych poglądów, a przytem człowiek z poświęceniem. Prawy obywatel... a nie wątpię, że i dobry mąż... Adonisem być już nie potrafi, ale jestem pewny, że dla żony jest najdelikatniejszym, najwyrozumialszym, że ją kocha całą miłością, na jaką się zdobyć może, a nawet... że jest pod pantoflem.

— Cha, cha, cha! trzeba się było przypatrzeć, jaka ona szczęśliwa!

— Szczęśliwa, nieszczęśliwa, to są rzeczy względne. Kobiety, którym los niczego nie poskąpił, czują się czasem nieszczęśliwemi dla jakiejś błahej przyczyny, której usunąć niepodobna. Nieszczęście ich nie leży po za niemi, ale jest w nich samych, w tych czarnych szkłach, przez które patrzą na świat i na siebie. Bywają zachcenia, którym i bogowie zadość uczynić nie mogą, bo są niedorzeczne...

— Tak, tak!—przerwał z ironią Mieczysław.— Kobieta to istota kapryśna, tak nizko stojąca, że nawet osądzić nie jest w stanie, czy jest nieszczęśliwą. Niech jej serce się krwawi sto razy na dzień, niech tonie w smutku i we łzach przez całe życie i usycha jak kwiat bez słońca, to ty jej powiesz, albo drugi taki filozof jak ty, że tym łzom i smutkom winny tylko jej mylne wyobrażenia i że ona jest szczęśliwa!

— Nie przesadzaj! Nie twierdziłem tego, co mi zarzucasz, powiedziałem tylko, że niejedna kobieta posiada wszelkie zewnętrzne warunki szczęścia, a czuje się nieszczęśliwą jedynie z powodu

spaczonych wyobrażeń i znarowionych uczuć... To samo i o mężczyznach powiedzieć można. Nie stawiam ich bynajmniej wyżej od kobiet w tej mierze...

— A więc pani Krzucka jest szczęśliwą według ciebie?

— Nie wiem, bo ją znam za mało. To, że dziś smutną była, to jeszcze nie dowodzi, aby codzień smutną być miała. Któraż rozsądna kobieta, która zastanawiała się nad sobą, nie przyzna ci, iż miewa dni, w których skłonna jest do łez, sama nie wiedząc czemu? Osoby nerwowe, a każda kobieta wyższego towarzystwa w XIX wieku jest nerwową, miewają napady bezprzedmiotowego smutku, który czasem nawet już i za zmianą pogody ustępuje.

— A więc to według ciebie tylko mrozy silne, albo fluksya, albo coś podobnego wpłynęło chwilowo na jej usposobienie? Osoba z takim jak ona smutkiem, wyrytym na twarzy może jutro lub pojutrze będzie najszczęśliwszą i najweselszą z kobiet?... Ty tego nie myślisz, ty tego nie możesz myśleć!

Czułem się zwyciężonym. Mieczysław miał słuszność. W samej rzeczy smutek, rysujący się na twarzy pani Krzuckiej, nie dopuszczał domysłu błahej jakiejś przyczyny. Brakło mi odpowiedzi na pytanie Mieczysława, odrzekłem tedy szorstko:

— Na co nam te dociekania! Jeśli pani Krzucka istotnie czuje się nieszczęśliwą, ty niezawodnie wiesz o tem lepiej odemnie. Chybabym trzech zliczyć nie umiał, aby o tem wątpić. Ale jeśli sądzisz, że wiesz, dlaczego jest nieszczęśliwą, to się mylisz...

— Jakto?

— Sądzisz, że przyczyną jest mąż... a przyczyną jest to właśnie, że nie umiała zerwać z przeszłością...

— Nie rozumiem!

— Nie umiała zerwać z przeszłością... a ty jej zerwać nie dajesz. Gdyby nie ty, stałaby się szczę-

śliwą, jeżeli jest kobietą serca, która poczciwość i przywiązanie męża ocenić potrafi. Ty sam rozbijasz jej szczęście i jej spokój zamącasz, podniecając uczucie, któremu należało dać zamrzeć... Czas byłby zagoił ranę, a ty...

Przypadł ku mnie Mieczysław w najwyższem rozdraźnieniu i chwytając za ramiona, wstrząsnął jakby chciał ze snu obudzić.

— Sni ci się?... Co ci śni!... Przeszłość?... Ależ między nami, oprócz serdecznej przyjaźni, nigdy nic nie było! Czyż ci nie mówiłem!... Ty sądzisz, że ona mnie kocha? Oh, gdyby tak było!... Ale ja? że ja ją kocham?... to i cóż z tego! Kocham całą siłą duszy! Ale jam jej tego nie powiedział; mógłbym rzec nieledwie, że jam jej tego niczem nie dał poznać!... Nie zapieram się: kocham, kocham, szaleję!... Więc ty sądzisz, że i ona... och, gdyby to prawda była!... byłbym najszczęśliwszy z ludzi!

Zakrył twarz rękoma i zapłakał spazmatycznem łkaniem. Przyszła kolej na mnie cucić go ze snu.

— Mieczysławie! dziecko jesteś!... Jeżeliby cię kochała, nie mógłbyś, nie powinienbyś się tem cieszyć. Mówiłeś mi dopiero, żeś dotąd jej spokoju nie zamącił, a teraz pragniesz swoją miłością zamącić ten spokój?...

Spazmy przeszły w śmiech szalony.

— Jej spokój! chachacha! jej spokój! spokój jej domowego pożycia!... jej domowe szczęście!... to śmieszne, to bardzo śmieszne!... chachacha... chachacha...

Wzruszyłem ramionami i zamilkłem. Mieczysław śmiał się, chodząc po pokoju i tak ramionami wzruszał, jakby największą z ust mych usłyszał niedorzeczność.

Wyjąłem z kuferka jakąś książkę i otworzywszy ją naoślep, zacząłem czytać.

Naśmiawszy się do woli, po kilku minutach swej wędrówki od kąta do kąta Mieczysław zwolnił kroku, nalał w szklankę wody i wypił ją duszkiem,

westchnął parę razy, a wreszcie przystąpił do zwierciadła i przyczesał rozczochrane włosy.

— Mieczysławie!—rzekłem do niego, widząc, że już się zupełnie uspokoił. — Nie bierz mi za złe moich przyjacielskich uwag. Wszak wiesz, że cię kocham...

Podał mi rękę i uścisnął.

— Posłuchaj mnie—mówiłem dalej.—Nie mówmy już o Krzuckim, ale o niej. Mało ją znam, ale ile znam—to wystarcza, abym miał szczere dla niej współczucie. Żal mi tej kobiety. Przypuszczam, że jest nieszczęśliwą...

— Aa, przecież!

— Ale jeśli nią jest, to wierzaj mi, pocieszyciel, któryby stanął między nią a jej mężem, uczyniłby ją stokroć nieszczęśliwszą!

Mieczysław wysunął rękę swoją z mej dłoni.

— Wierzaj mi—mówiłem dalej—gdyby cię pokochała... wiedząc, że twoją być nie może, czułaby podwójnie ciężar swoich kajdanów. Życie jej stałoby się nieprzerwaną katuszą... To kobieta szlachetna, pełna poczucia obowiązku i uczucia godności własnej! Jąby zabijała ta myśl, że kocha kogoś, kogo jej kochać nie wolno... Nie mów mi, że chcesz być tylko przyjacielem, że poprzestaniesz na przyjaźni! Ty przyjacielem być nie potrafisz dla niej. Przyjaciel, który jej męża nazywać będzie tak, jak ty go nazwałeś nikczemnikiem, taki przyjaciel niebezpieczniejszy od wroga!...

Mieczysław dawał znaki zniecierpliwienia.

— Czy myślisz—rzekłem z naciskiem—że uczucie złamanej wiary nie odezwałoby się wyrzutami w jej duszy? Nazwiesz to może przesądem? Pamiętaj, że tego przesądu żadnej uczciwej kobiecie z serca nie wykorzenisz. Dla takiej kobiety, jak ona, taki „przesąd“ to trucizna, działająca zwolna, ale zabójczo od pierwszej chwili, w którejby się występną uczuła...

Mieczysław machnął ręką z lekceważeniem:

— Kaznodzieja z ciebie znakomity, szkoda, że nie jesteś księdzem.

— Nie mówię jak ksiądz... ale mówię jako twój... i jako jej przyjaciel...

— A no! chcesz być jej przyjacielem, to pozwól, abym i ja nim był.

— Ale taka przyjaźń, jak moja, nie odbiera dobrej sławy, ale ją ocala... A czy myślisz, że przed światem przyjaźń tego rodzaju, jak twoja, długo może pozostać w ukryciu? że mąż się nie spostrzeże? O, na to nie licz. Cóż wtedy? Czy katastrofa, którąby w takim razie nastąpiła, nie byłaby dla niej zabójczym ciosem?

Mieczysław spojrzał na zegarek.

— Już w pół do drugiej—rzekł—biorąc za kapelusz. Pójdziesz na obiad?

Zamiast odpowiedzi pochwyciłem napowrót książkę, leżącą na stole i zacząłem czytać.

— Nie idziesz? A no, to do widzenia!

Zarzucił burkę na ramiona i wyszedł.

— Nad domem Krzuckich ściągają się chmury—pomyślałem. — Trzebaby je rozpędzić póki czas jeszcze. Ale jak?

V.

W RESTAURACYI.

Szalejący z miłości Mieczysław, mimo gwałtownego bicia serca, usłuchał trzeźwego zdania swego apetytu, który mu kazał iść na obiad. Nie dziw tedy, że i ja także, aczkolwiek stroskany o zagrożone szczęście domowe pana Waleryana, uległem

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Kielcach

naleganiu żołądka — dopominającego się o swe prawa.

W restauracyi spotkałem starego znajomego, a blizkiego sąsiada pp. Krzuckich, pana Krzysztofa***, który mnie steoretypowem przywitał pytaniem: czy dawno, czy na długo i w jakim interesie przyjechałem do Krakowa,

Opowiedziałem mu tedy o interesie mojej ciotki i o odbytej już konferencyi z p. Waleryanem.

— A panią Waleryanowę widziałeś?—zapytał. Ależ to kobieta! jak Wenus! jak Madonna!

— Ej, ej, panie Krzysztofie! Wenus i Madonna! Cóż to, czy i pan w niej także zakochany?

— Jakto: także? Któż to się w niej zakochał?

— No... cały świat. I nie dziwię się. Ale pan, pan! Ojciec dzieciom! Ej, powiem to pani dobrodziejce...

— Nie uwierzy. Jużem za stary.

— Ba, pan Waleryan starszy.

— Głupstwo zrobił. Będzie tego kiedyś żałował.

— Jakto? czy się na to zanosi?

— No, dotąd niby nie. Kochają się jak gołąbki. Ale czy to długo potrwa?... W domu u nich gości zawsze pełno, jak w ulu — a taka chichotka, taki trzpiot jak ona, i z takim rozumkiem... hm, hm, hm! — i pokręcił pan Krzysztof głową.

— Jakto? chichotka? trzpiot?

— A! — wykrzyknął zdziwiony mem pytaniem pan Krzysztof.—Dość ją przecie raz widzieć w życiu, aby wiedzieć, dlaczego ją tak nazwałem. Wszak to śmieszek chodzący, figlarka pusta jak student na wakacyach! W życiu nie spotkałem weselszej istoty..

— I zawsze taka?

— Ale zawsze!... Wyjątek chyba kiedy ma migrenę: wtedy tnie jak osa i lada czego we łzach się rozpływa. Czy widziałeś ją może w złym humorze?

— Tak, dość. Była smutną. Słyszałem już tyle o jej wesołości, że widząc ją dziś po raz pierw-

szy — zupełnie ją inną znalazłem, niż się spodziewałem.

— Smutna? to dziwne. Niezawodnie migrena.

— Fluksya.

— A no, to jej nie znasz, jeźli ją widziałeś w złym humorze i ze spuchniętą twarzą. Byłem u nich w Kumakowcach niespełna temu trzy tygodnie. Co też ona wyprawiała za psoty!... Była właśnie na wyjezdnem do siostry swego męża—w Tarnowskiem...

— Aa, do pani Balbiny. To podobno w sąsiedztwie Sabałówki?

Pobyt Mieczysława w tym majątku jego wuja przyszedł mi na myśl.

— Pół ćwierci mili. Otóż wyobraź sobie, ubrała się w ogromną futrzaną czapkę Waleryana... a musisz wiedzieć, że lubi ekscentryczne takie trawestacye...

— A wiem. I dziś jak odaliska z seraju...

— O kim to panowie mówicie?—przerwał nowy gość przybyły na obiad, wspólny nasz znajomy, p. Edmund.

— O pani Krzuckiej.

— Ach, słyszałem! co za nieszczęście!

— Cóż takiego?

— Jakto, nie wiecie? Przed kilkoma dniami spadła z konia na głowę i dotąd jest ciągle bezprzytomną. Czaszka podobno pękła. Doktór Apfelglod miał pisać, że nie ma już nadziei ocalenia... Biedna kobieta, pewnie umrze!

— Kto? kto taki? kto umrze? kto spadł z konia? — zapytał znowu świeży gość, pan Jan, zbliżając się do naszego stolika.

— Sąsiadka twoja, pani Waleryanowa!—wyjaśnił p. Edmund.

— To bajki! — zaprzeczył p. Jan.—Przyjechali właśnie oboje do Krakowa, mieszkają w Saskim hotelu. Ale... wiecie co?... nie zgadlibyście! oto: rozwodzą się już...

— Bądźcie panowie zdrowi! — rzekłem, biorąc za kapelusz i pozostawiłem panu Krzysztofowi przyjemność prostowania tych pogłosek.

VI.

TAJEMNICA.

Załatwiłem w mieście sprawunki, zlecone mi przez ciotkę, odwiedziłem kilku przyjaciół, a czas mi tak szybko zleciał, że było już pewnie po dziesiątej gdym powracał do hotelu. Gęsta mgła zaległa ulice, i świetlaną aureolą otoczyła każdy płomyczek latarni. Idąc tak otulony futrem, porządkowałem w myśli me własne spostrzeżenia o pani Krzuckiej, zrobione w ciągu wizyty, i zestawiałem je z tem wszystkiem, co o niej słyszałem od Walerjana i od Mieczysława i co świeżo dowiedziałem się od p. Krzysztofa. Chciałem na podstawie tego bilansu dojść do rozwiązania zagadki:

— Kocha — czy nie kocha? winna, czy nie winna?

Łzy w jej oczach i smutek na czole? To nie świadczy, aby się czuła szczęśliwą i aby zadowoloną była z wyboru małżonka.

Ale p. Krzysztof twierdzi, że nie zna weselszej od niej kobiety — i opowiada, że jeszcze przed dwoma tygodniami widział ją swywołącą, jak student na wakacyach.

Czyżby od tego czasu taka zaszła zmiana?

Trudno to przypuścić.

A jednak — ta jej wycieczka w Tarnowskie? majątek pani Balbiny, do której jeździła w odwie-

dziny (i to w tej porze roku tak niedogodnej do wycieczek!), majątek ten leży tuż w sąsiedztwie Sabałówki, gdzie przebywał Mieczysław u swego wuja. Mieczysław niezawodnie jeździł z wujem z wizytami po całej okolicy, tembardziej, że p. Dezydery, stary kawaler, ma manię swatania każdego młodzieńca, który mu się do rąk nawinie. A w tym okręgu panien na wydaniu nie mało.

Niezawodnie się tam widzieli! Przypomnieli sobie dawne lata, szczęśliwsze czasy, marzenia i nadzieje pierwszej młodości, a ze wspomnieniami odżyły dawne uczucia. Kto wie, jaki wprzódy między niemi istniał stosunek? Mieczysław nazwał to „dziecięcą... przyjaźnią“, ale kto wie, czy chciał rzeczy nazwać po imieniu?

Smutek i łzy — to tedy zapewne rzecz nowa, od widzenia się w Tarnowskiem powstała.

Ale p. Krzysztof powiada, że Krzuccy „kochają się jak gołąbki“ i że pani Małgorzata zawsze we łzach tonie, ile razy ma migrenę. A więc to może migrena albo mumps tych łez powodem? Kto wie, może jutro lub pojutrze wszystko przedstawi się w innem świetle?

Ale te jej rumieńce, rozkwitające za każdem prawie spojrzeniem Mieczysława? To już nie mumps!

I znowu zacząłem przypominać sobie, jakie to przedmioty rozmowy wywoływały rumieńce na twarzy p. Krzuckiej.

Przedstawienie mężowi przyjaciela z lat dziecinnych? Tu rumieniec zrozumiały i niekompromitujący.

Zarumieniła się, mówiąc, że jest szczęśliwą, szczęśliwszą niż dawniej... To całkiem naturalne.

A rumieniec przy mej wzmiance o konnej jeździe?... Prawdę mówiąc, to i tu całkiem zrozumiały jej rumieniec. Lubi ją namiętnie, a wyrzekła się tej przyjemności dla męża. Każda inna kobieta, mówiąc o tem, byłaby się także zarumieniła.

Przywidzenia! przywidzenia!—zakonkludowałem. Pani Krzuckiej nie marzy się o Mieczysławie. Ona kocha szpakowatego „mężusia“ swego.

A wreszcie, przecież pan Waleryan nie ślepy. Gdyby Mieczysław był dla niego niebezpiecznym, wiedziałby o tem dobrze.

A jednak... cóż znaczyło to dziwne jego zachowanie się wobec Mieczysława na schodach, po poznaniu się z nim? I to jeszcze dziwaczniejsze przyjęcie na początku naszej wizyty aż do zjawienia się pani Małgorzaty? Miałżeby nie dosłyszeć jego imienia, gdy mu go przedstawiałem?

Zagłębiony w tych myślach, wyszedłem na schody i idąc wązkim kurytarzem, o mało nie minąłem piątych drzwi na lewo. Szwajcar, otwierając mi bramę hotelu, powiedział, że klucz mojej stancyi jest na górze i w samej rzeczy klucz był we drzwiach.

— Mieczysław po przebytych gwałtownych wrażeniach może już spać się położył — pomyślałem. Spojrzałem przez dziurkę od klucza — ciemno. Pewnie śpi.

Otworzyłem tedy drzwi jak mogłem najciszej i na palcach wszedłem do mego pokoju. Światło bijące od latarni po przeciwnej stronie ulicy, dozwoliło mi dostrzedz, że drzwi między moim pokojem a pokojem Mieczysława były na wpół roztwarte

Złożyłem futro na poręczy krzesła, a usiadłszy w fotelu... (czytelnik daruje, że w interesie prawdy będę zupełnie szczerym, pomijając poniekąd względy estetyczne), otóż usiadłszy w fotelu, ściągnąłem buty — niezbyt wygodne, do których nagniotki moje osobliwszą miały antypatyę.

Mem zdaniem, wieczorna chwila, następująca po zrzuceniu obuwia, należy zawsze do milszych chwil w życiu. Palce nóg, czując się wolnemi od ugniatających więzów, korzystają ze swej wolności i próbują, czy jeszcze ruszać się nie zapomniały. Podnoszą się dumnie do góry i zginają potem ku po-

deszwom, to znowu starają się rozsunąć i pooddalać tak od siebie, aby jeden drugiego nie dotykał, co im się jednak rzadko udaje.

Takim to wieczornym egzercycyom gimnastyki szwedzkiej oddawały się z prawdziwą rozkoszą palce moich nóg, podczas gdy ja, przeciągając się jak najrozkoszniej, ziewnąłem kilka razy i zacząłem uwalniać guziki mego ubrania z namiętnych uścisków ich pętelek... jeden, drugi... dziesiąty...

Niema w tem nic nieprzyzwoitego: Szanowna czytelniczko czytaj dalej bez obawy.—*Naturalia non sunt turpia*, a rozbieranie się jest zaiste rzeczą nietylko powszechnym uświęconą obyczajem, ale co więcej, rzeczą arcynaturalną i nawet nieuniknioną. Nic takiego nie powiedziałem i nie powiem, czembym mógł kogo zgorszyć. Wszak i tak już, niestety, wiadomem to było i najskromniejszej z czytelniczek, że nikt w ubraniu nie włazi pod kołdrę.

A zatem powtarzam jeszcze raz: guzik—jeden, drugi, trzeci... dziesiąty... jedenasty...

Wtem... zdawało mi się, że słyszę w drugim pokoju jakiś szmer. Nicby w tem nie było nadzwyczajnego i nie byłoby zwróciło mojej uwagi — ale w rodzaju tego szmeru było coś niezwykłego, zagadkowego. Było to bowiem coś podobnego do szmeru jedwabnej sukni—a suknia jedwabna każe zawsze przypuszczać obecność osoby *generis feminini*.

Nadstawiłem więc ucha — i znowu toż samo. Wkrótce potem krząknięcie... nie, to nie krząknięcie męzkiej piersi i męzkiego gardziela. Co to być może? O — panie Mieczysławie! — pomyślałem, takaż to ta twoja miłość...

Pomyślałem — ale nie miałem czasu wysnuć myśli do końca. Przerwało mi westchnienie... I znowu... i jeszcze westchnienie — a potem ledwie dosłyszalne, ale z niewymownym żalem wypowiedziane wyrazy:

— O Boże, Boże!...

Któżby to był? To jakaś nie codzienna miłostka — takim głosem nie wzdychają osoby z półświatka.

Czy ona tam sama? Cóż mnie czynić wypada? Czy zerwać się z fotelu i co prędzej przymknąć drzwi otwarte? Wszedłem tak cicho do pokoju, ona... czy oni?... pewnie nie wiedzą o mojej obecności.

Wahałem się niezdecydowany, gdy wtem rozległ się hałas spiesznych kroków na kurytarzu i pochwycił ktoś za klamkę do pokoju Mieczysława. Stukające obcasy i śmiałe szarpnięcie klamką nie dozwalało wątpić, że wchodzącym był mężczyzna. Po szybkim chodzie poznałem Mieczysława.

Drzwi zastał zamknięte na klucz. Niewiasta w jedwabnej sukni zerwała się coprędzej z siedzenia i jednym skokiem już była u drzwi. Odsunęła zasuwkę, mężczyzna wszedł do pokoju.

— Już byłam niespokojna o ciebie!... zadzwonił dźwięczny głosik kobiecy.

Czyj to głos? Ten głos tak mi gdzieś znany!

Całą odpowiedzią Mieczysława był głośny całus. Poczem słyszałem, jak rzucił futro na kanapę, a laskę postawił przy ścianie.

— Cóż? jedziemy? — pytała dalej niewiasta i dodała tonem błagalnym:

— Jedźmy, mój drogi! jedźmy!

Znowu całus w odpowiedzi.

Czy mi się śni? Wszak ten głos tak mi znany, to głos pani Krzuckiej!

O zgrozo!.. Ona u niego i chcą uciekać oboje!

Biedny Waleryanie! — pomyślałem, oburzony do żywego na Mieczysława. — A jacy nieostrożni! Drzwi nawet nie przymknęli! Nie wiedzą, że tu jest świadek... Czy może nie chcą taić się przedemną? Chcą, abym wbrew mej woli stał się niby przypadkowo ich powiernikiem, sprzymierzeńcem? Ah, tego już za wiele!... Ale cóż ja mam robić? Przeszkodzić wszystkiemu?... Czy warto jeszcze! Rzeczy zaszły

tak daleko... cóż przyjdzie Waleryanowi z takiej żony: nie dziś, to jutro!...

Tysiące podobnych myśli przemykało mi przez głowę, jak błyskawice.

Wtem usłyszałem szelest potartej o pudełko zapałki i błysło niebieskawe światło w drugim pokoju.

— Nie — nie zapalaj świecy!—mówiła p. Krzucka ze smutkiem. — Nie chcę, abyś się patrzył na mnie!... Nawet kiedy sama jestem w pokoju, to wolę siedzieć pociemku... Wstyd mi siebie samej!

Reszta słów utonęła w głośnem szlochaniu.

Światła jednak nie zgaszono. Natomiast usłyszałem dobrze mi znany basowy głos:

— Dziecko jesteś, Małgosiu! dziecko!

Był to głos pana Waleryana.

Co to znaczy? A więc ona nie z Mieczysławem ale z mężem? Cóż oni robią w pokoju Mieczysława? Aaa!...

Aaaa... i całej nagle domyśliłem się tajemnicy.

Piąte drzwi na lewo w kurytarzu—ale na drugiem, a nie na pierwszem piętrze jest mój pokój.

A ja zaszedłem na pierwsze!

Ten sam rozkład w pokoju, to samo umeblowanie, wszystko jednakie! Fatalnie!

Co teraz robić?... Zrzuciłem buty... toaleta moja w zupełnym już nieporządku... jestem tu już tak dawno... mąż nie wie, jak i kiedy się tu dostałem... ona nie każe mu świecy zapalać... Co on sobie pomyśli?... Stary mąż zawsze zazdrosny i podejrzliwy... Co robić? co robić?...

Rozpacz mnie się czepiała.

I znowu pomyślałem; Jakto! czyż poczuwam się do jakiej winy? Powiem całą prawdę, wyjaśnię rzecz—i koniec!

— Nie... nie można. Siedzę tu już tak dawno, miałem dość czasu spostrzedz, że nie jestem u siebie.—Nie uwierzą ..

— Mamże im powiedzieć, jakie podejrzenie utrzymywało mnie tak długo w fatalnem mniemaniu, że

u siebie jestem? Waleryana głos wprawdzie dopiero teraz usłyszałem, bo się wprzódy nie odzywał, ale ona... ona... Jakże się wytłumaczę, że słysząc jej głos, nie spostrzegłem jednak mojej omyłki?

— Zamanifestować teraz dopiero moją obecność, gdy się podsłuchało jakąś tajemnicę małżeńską?... Niepodobna!

I brzmiały w mej pamięci jej wyrazy: „Nie chcę, abyś się patrzył na mnie... wstyd mi siebie samej!...“

A pani Krzucka mówiła dalej:

— Nie patrz się na mnie!... O, tyś poczciwy! tyś najlepszy w świecie! ale kiedy się na mnie patrzysz, to ja czytam w twych oczach, jaki masz żal do mnie! Mówiłeś! przestrzegałeś!... Zanadtom sobie zaufała!...

— Ha!—westchnął pan Waleryan z rezygnacyą.

Pani Krzucka płakała.

— Moje dziecko! któż się mógł spodziewać! Cóżeś ty temu winna.

— Winnam! winna! — wyjąkała przez łzy.

— Nie, nie, nie ty. Któż mógł wiedzieć, że on taki... oh, miałbym ochotę w łeb mu palnąć!

Ku wielkiemu memu zdziwieniu—żadnej na tę pogróżkę nie było odpowiedzi, ani protestu. Snadź znając dobrze swego małżonka, musiała pani Krzucka być pewną, że do wykonania tej groźby nie przystąpi.

— Wszak prawda? jedziemy jutro?—rzekła po chwili.—Ty masz tu tylu znajomych... odwiedzają nas...pytają się... oh, ty nie wiesz, ile mnie kosztuje każda taka wizyta! Smiać się, udawać wesołą... kiedy mi łzy się do ócz cisną... oh, to męka!... Grać komedyę z taką dręczącą tajemnicą w sercu...

Ach, byle się teraz sama tylko do reszty nie wygadała!—pomyślałem. Jak się jeszcze i tej tajemnicy dowiem—cóż ja z sobą pocznę!

— Ale nie bój się, moje dziecko, nie bój!—odezwał się pan Waleryan.—Wszak nikt o tem nie wie

i wiedzieć nie będzie, nie będzie... Nikomu to nie w głowie...

I dodał śmiejąc się:

— Cezar przecież nie wygada!

— Ach, nie mów tego! Plotka tak łatwo się rozejdzie... Ot, i dzisiaj, ten twój przyjaciel — tak mi się przypatrywał! Takiemi oczyma! On chyba coś wie!...

Ten „przyjaciel", o którym mówiła—to pewnie ja! Poty na mnie biły. Chciałbym się był pod ziemię schować.

— O, jabym umarła za wstydu, gdyby się świat dowiedział!

— Margosiu, fe! Własnego cienia się boisz.

— Ach, prawda!

— Nie wie nikt i nie będzie wiedział. Bądź spokojna. Przecież i mnie na tem coś zależy,..

Tu pan Waleryan zbliżył się ku drzwiom drugiego pokoju...

Co ja z sobą poczne? gdzie ja się podzieję nieszczęsny? Ach, gdybyż to stać się niewidzialnym! Udam śpiącego! Tak, to będzie najlepiej. Jak tu wejdzie, udam, żem się ze snu przebudził, że nic nie słyszałem, zadziwię się, żem nie u siebie... Tak, to jedyny środek, jaki mi jeszcze pozostał...

Pan Waleryan chodził szerokiemi krokami po pokoju żony. Ile razy się zbliżał do drzwi w pół otwartych, strach mnie jakiś przejmował, jakby zbrodniarza złapanego na gorącym uczynku. Trząsłem się jak w febrze. To krew uderzała mi do głowy jak w parni, to znowu zdawało mi się, że mi zimno. Ściskało mnie coś za gardło i łechtało do kaszlu. Całą siłą woli wstrzymywać się musiałem od chrząknięcia...

— A Jagusia? nie wygada się? — zapytał pan Waleryan po dłuższej pauzie.

— Podwoiłam jej pensyę.

I znowu pauza. Pan Waleryan stanął we

drzwiach i na progu się zatrzymał. Zdawało mi się, że słyszę, jak mi serce gwałtownie uderza:

— No, dziecko! Już późno. Idź spać, jeśli mamy jutro rano jechać. A nie płacz, nie martw się!... Co się stało, to się stało! Zapomnij o tem... Jeszcze wszystko będzie dobrze!...

— Eh, to już nie to!... to, co było, już się nie wróci, nigdy! nigdy! już się nie odstanie!... oh, wolałabym była umrzeć!...

— Grzech, grzech, Margosiu, tak mówić! Powiadam ci, że wszystko jeszcze będzie dobrze... Nikt wiedzieć o tem nie będzie i my sami zapomnimy!

Do wszystkich moich kłopotów przybył w tej chwili jeszcze nowy. Zebrało mi się na kichanie. Byłem na torturach!...

— Zapomnieć?... O, o tem zapomnieć nie można! — mówiła z tragiczną intonacyą pani Krzucka. Ile razy spojrzysz na mnie, mężusiu — to ci się ta myśl nasunie! Ja o tem wiem... i to mnie zabija!...

— Marguś! Marguś!

— Ty poczciwy, ty mi tego nie będziesz wymawiał, ty mi o tem nigdy nie wspomnisz, ale...

Reszta słów zmieszała się z łkaniem.

— Moja Margosiu... miejże rozum!... Margosieczko!—perswadował pan Waleryan.

— I cóż z tego?... choćby nikt nie wiedział, to ty wiedzieć będziesz, a na cóż dla mnie większego nieszczęścia! Oh, wolałabym nie żyć...

Ach jakaż męka! Nie uwierzysz łaskawy czytelniku, jak mi się chciało kichnąć w tej chwili! Tarłem nos ręką, jakbym go odmroził, ale jakoś to nie uspakajało jego zachcenia. Panu Waleryanowi zebrało się na całusy. Usłyszałem głośne cmoknięcie.

— Ależ, Margosiu, nie płacz! Nie będę o tem myślał, jak cię kocham! Tyś dla mnie zawsze ta sama i ani o włos cię teraz mniej nie kocham...

Znowu cmoknięcie—jakby kto szczelnie zakorkowaną butelkę otworzył. Ach, jakże mi w nosie

kręciło, jakby po bernardyńskiej szczypcie Albanki!

— Nie, nie całuj mnie, mój drogi!... Cóż ci z tego, że mnie całujesz! Ty mnie taką kochać już nie możesz!...

— Ale ko...

W tej chwili kichnąłem!

Wśród ciszy nocnej odgłos mego kichnięcia rozległ się jak strzał pistoletowy. Długo wstrzymywane, z podwójną huknęło siłą.

Nie myśląc wiele, jednym skokiem byłem już za drzwiami. Futro i buty zostały w pokoju.

Zatrzaskując drzwi za sobą, usłyszałem jeszcze krzyk pani Krzuckiej i groźne basowe „kto tam?“ Waleryana.

Rzuciłem się na oślep kurytarzem, jak ten, co przed niechybną śmiercią ucieka.

W pierwszym jednak, czy drugim poskoku uderzyłem piersiami o jakąś przeszkodę tak silnie, że aż w nich coś odjękło, jak struna zerwana w fortepianie. Odskoczyłem niby piłka elastyczna w tył o dwa kroki.

Przedmiot potrącony zachwiał się. Podniosłem głowę: przedemną stał Mieczysław. Najwyższe zdziwienie malowało się na jego twarzy. Widział niezawodnie, zkąd wybiegłem w ten sposób.

— Ty?... zawołał, mierząc mnie oczyma i patrząc na moje białe bawełniane obuwie.

— Co tu robisz? — zapytałem, nie wiedząc co powiedzieć. I chciałem zemknąć, nie czekając odpowiedzi. Mieczysław mnie zatrzymał.

— Co to jest? Co to znaczy? — pytał raz po raz, dziwnie przerażony, ściskając mi ramiona żylastemi dłońmi.

— Puść mnie! na Boga, puść mnie! — błagałem, usiłując wyrwać się z tych kleszczów.

Mieczysław nie puszczał. Przy świetle latarni, która wisiała w tem miejscu, widziałem, jak mu drżą wargi. Wlepił we mnie wzrok, jakby chciał nim prześwidrować mnie na wylot.

— Co to jest? Co to znaczy? — pytał coraz głośniej, domagając się odpowiedzi. Palce, które wpoił we mnie, drgały jak w konwulsyach.

— Powiem ci wszystko... ale puść! jeśli *ją* kochasz. Chodź, chodź!... Ale prędko!...

Zwolniały ręce Mieczysława. Puściłem się pędem naprzód, on za mną...

Dobiegliśmy do końca kurytarza i zwrócili się na lewo, gdym usłyszał otwierające się drzwi pokoju państwa Krzuckich. Waleryan nie dostrzegł mnie. Zdaje mi się, że i Mieczysława już nie mógł dostrzedz. Umknęliśmy szczęśliwie.

Pędząc po schodach na drugie piętro, minęliśmy jakieś dwie panie, które na widok mego kostyumu głośnym wybuchły śmiechem.

Była to panna Katarzyna C. ze swoją ciotką. Tak, niestety! panna Katarzyna!

VII.

MIECZYSŁAW I CEZAR.

Kto była panna Katarzyna—to nie należy do niniejszego opowiadania. Powiem tylko, że w tym dniu feralnym i na owych schodach rozstrzygnął się mój los... Jestem dotąd starym kawalerem, łaskawa czytelniczko.

Skłopotany i zawstydzony fatalną sceną przebytą w pokoju państwa Krzuckich, której mnie nabawiło moje roztargnienie, zraniony boleśnie śmiechem panny Katarzyny (jeszcze go słyszę w tej chwili!), wpadłem do naszego mieszkania jak desperat i załamałem ręce.

— Cóż się stało? mów!—domagał się natarczywie Mieczysław.

Rzecz wymagała obszernego wyłuszczenia, a ja nie mogłem się zdobyć na słowo.

— Nic, nic! — zawołałem wreszcie z wysileniem — nikomu nic, tylko mnie!...

Przypomniałem sobie w tej chwili moje futro i buty zostawione w pokoju pp. Krzuckich. Należało starać się wydostać je ztamtąd jakim trafnym sposobem, niebudzącym podejrzenia. Szarpnąłem co siły za taśmę od dzwonka.

Taśma była urwana i spadła za szarpnięciem, drut wiodący do dzwonka ani się ruszył.

— Mieczysławie!—zawołałem—na miłość boską! zbiegnij co żywo na dół i zawołaj kelnera. Ja nie mogę.

I pokazałem mu nogi moje w bawełnianem ubraniu.

Mieczysław zniecierpliwiony wzruszył ramionami i stał na miejscu.

— Powiedzże mi już raz, co to wszystko znaczy!

— Powiem! powiem, ale zlituj się i zawołaj kelnera. Każda chwila droga!... Zaklinam cię!...

Mieczysław ani się ruszył.

— O nią idzie!—dodałem z naciskiem, jako *argumentum ad hominem*. — Szczególnym wypadkiem, najniewinniej byłaby skompromitowaną... Przysięgam ci na honor. Na wszystko, co ci święte, zaklinam cię, idź!...

Spojrzał mi w oczy z niedowierzaniem i wybiegł.

W niespokojnem oczekiwaniu każda minuta zdawała mi się godziną. Zmierzyłem pokój kilka razy spiesznemi krokami i rzuciłem się na łóżko.

Przesunęła mi się w pamięci cała rozmowa małżeńska, której mimowolnym byłem świadkiem. Żal mi się zrobiło kobiety, która tak boleśnie czuje błąd popełniony i bardziej cierpi od małżonka zdra-

dzonego przez nią w chwili szału, czy słabości charakteru.

— Przestrzegałeś mnie! — mówiła — zanadto sobie zaufałam!...

Biedna kobieta!

Ale kto jest ten Cezar, wtajemniczony w cały sekret?... Ha, nie trudno będzie się dowiedzieć! To nie kochanek, tylko powiernik. To zapewne jakiś sąsiad.

Jedno tylko było dla mnie niepojętem, to zachowanie się Waleryana i samej pani Krzuckiej wobec Mieczysława. Jeżeli to on zamącił ich domowy spokój, w takim razie mąż zdradzony, wiedząc już o wszystkiem, nie mógłby go tak całować w oba policzki... A i pani Krzucka inaczejby go była przyjęła, przynajmniej w obecności męża. Nie, wcaleby nie była wyszła ze swego pokoju.

A więc to nie Mieczysław, ale ktoś inny.

Czy może ów Cezar?... Tak, to on, to pewnie on! Wszak z tego, co mówił Krzucki, najwyraźniej wynika, że tylko dwoje ludzi wygadaćby mogło tajemnicę: Cezar i Jagusia. O nikim więcej nie wspomniał. Cezar! Cezar!...

Nie, nie. To Mieczysław! Czyż nie widziałem, jakiemi patrzyli na siebie oczyma! Jak się rumieniła za każdem jego spojrzeniem!...

Ale ta jej skrucha?... Czy udana?... O nie! To był żal głęboki, rozpacz nad upadkiem własnym, nad utratą mężowskiego przywiązania i szacunku! Te rumieńce, to były rumieńce wstydu!

Biedna kobieta!...

Ale czemu Mieczysław nie wraca? Strach mnie przejmował o panią Krzucką. Po tem, co zaszło w ich domu, mąż musi być tak podejrzliwym! Ha, gdyby teraz znalazł moje futro!... moje buty!... Okropność!

Niepokój mój doszedł do zenitu.

Zeskoczyłem z łóżka i zacząłem biegać po pokoju jak szalony. Czemu on nie wraca!...

Wtem zwróciła moją uwagę stojąca na stoliczku przed łóżkiem Mieczysława duża fotografia w eleganckich ramkach. Spojrzałem bliżej: była to fotografia pani Krzuckiej. A!...

Zbliżyłem ją do świecy, aby się jej lepiej przypatrzeć. Pod fotografią wyczytałem drobnemi głoskami wypisane słowa:

Mieczkowi

Margosia.

a niżej data... dzisiejsza!!... Osłupiałem.

I ja mogłem wierzyć w cnotę tej kobiety? w szczerość jej skruchy!

Mówiła, że jej „wstyd samej siebie“, że nie wierzy, „aby mąż ją jeszcze mógł kochać po tem, co się stało...“ a pewnie mu przysięgla, że romansik z Mieczysławem był chwilą zapomnienia, że do przeszłości niepowrotnej należy, której całe życie wstydzić się będzie... i pewnie niezłomną wierność małżeńską ślubowała nanowo. A on uwierzył i przebaczył wspaniałomyślnie!... Przyjął nawet tak Mieczysława, jakby nie wiedział o niczem... Lituje się nad skruszoną pokutnicą...

A ta fotografia dzisiejszą nosi datę!...

Wpatrywałem się z obrzydzeniem w jej rysy, w których tak złudnie malować się zdawała piękna i szlachetna dusza, niezdolna do zdrad i obłudy. Wtem wszedł Mieczysław z kelnerem.

— Słuchaj — rzekłem do kelnera, wyjmując z portmonetki banknot pięcio-guldenowy. — To dla ciebie przeznaczone, byleś się dobrze sprawił.

— O, dobrze się sprawię, wielmożny panie. A za dziesięć lepiejbym się sprawił,

— No, i drugą piątkę dostaniesz, jak się przekonam, żeś nie papla.

— O, to się na mnie nie pokaże, aby ja kiedy co wygadał. Niech wielmożny pan spyta się pana

A**, albo hrabiego Z** czy się na mnie można spuścić...

— Słuchajże. Wracając do stancyi, przez pomyłkę zaszedłem na pierwsze piętro, zamiast na drugie, a sądząc, że mój towarzysz już śpi, wszedłem na palcach, tak cicho, że mnie pani Krzucka, będąca w drugim pokoju, nie słyszała. Zrzuciłem futro i ściągnąłem buty i dopiero wtedy spostrzegłem się, że jestem w obcem pomieszkaniu, kiedy pan Krzucki wszedł do pokoju żony, a ja go poznałem po głosie. Uciekłem coprędzej i zostawiłem tam buty i futro...

Kelner na cały głos się roześmiał, a nawet i Mieczysław nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

— Nie śmiejże się, ale słuchaj, o co idzie...

— O, już ja wiem, proszę pana. Wielmożny pan chce, abym wyniósł te rzeczy tak, aby p. Krzucki nie widział...

— Aby oboje państwo Krzuccy nie widzieli.

Kelner uśmiechnął się złośliwie.

— O, już ja to zrobię! Ale, jeśliby pan Krzucki już znalazł?...

— Jeśliby państwo już spostrzegli te rzeczy, to powiedz, że to tyś je tam zostawił przez pomyłkę, niosąc do czyszczenia.

— Aha, a jak pan Krzucki będzie chciał koniecznie wiedzieć, czyje to rzeczy, to ja powiem, że to tego starego Niemca z Nru 52...

— Nie — odpowiedziałem z naciskiem. — Jakby pan Krzucki się pytał, o czem wątpię, to powiedz, że to są moje rzeczy.

— Że wielmożnego pana?... — zapytał kelner z widocznem zdziwieniem.

Potwierdziłem raz jeszcze, a kelner wyszedł. Mieczysław stanął przy piecu, zrobił gest niezadowolenia, a potem zapytał:

— Nie rozumiem, co ci tak zależy na zachowaniu tajemnicy. Najlepiej byłbyś uczynił, gdybyś

nie był uciekał, ale spostrzegłszy swoją omyłkę, sam ich przeprosił, obuł się napowrót i wyszedł.

— Tego nie mogłem zrobić.

— Czemu?

— Starzy mężowie są zawsze podejrzliwi. Krzucki byłby mi może nie uwierzył. A zresztą, mam jeszcze inny powód, dla którego nie chciałbym, aby wiedzieli, że tam byłem... Przypadek uczynił mnie świadkiem rozmowy, której pewnie nie życzą sobie, aby kto podsłuchał...

— O czemże mówili? — zapytał z najwyższem zajęciem.

— Nie zwykłem robić plotek. Kilka słów niecałkiem nawet dla mnie zrozumiałych.

Mieczysław nalegał, abym mu powtórzył, co słyszałem.

— Smieszny jesteś!—zawołałem w końcu.—Na cóż mnie pytasz? Jej się zapytaj, a dowiesz się pewnie więcej, niż mąż się dowiedział.

— Jakto? Nie rozumiem!...

— Nie udawaj! — zawołałem z niechęcią i pokazałem mu fotografię pani Krzuckiej na stoliku.— Nie udawaj! bo widziałem i czytałem dedykacyę... „Mieczkowi—Margosia...“

— To ty jesteś śmieszny! — odparł Mieczysław widocznie zirytowany.—Czy nie wiesz, że...

— Że to pamiątka z lat „dziecinnej przyjaźni“, czy tak?... Ale ja, na nieszczęście, dostrzegłem datę! Cha, cha!...

Zaśmiałem się z goryczą. Mieczysław dozwolił mi się naśmiać, a potem rzekł:

— Przestałeś? No, to teraz będziesz śmiał się powtórnie, ale z siebie samego. Słuchaj. Zapytaj jutro twego pana Waleryana, kto mi tę fotografię tu przyniósł i dla kogo ona przeznaczona. Może choć jemu raczysz uwierzyć, że brat najstarszy pani Margerity nazywa się także Mieczysław, i że tę fotografię przyniósł tu mąż sam, prosząc mnie o doręczenie jej w Warszawie.

Zawstydziło mnie to wyjaśnienie. Tak niegodnie posądziłem tę kobietę! Jakże pozory często mogą mylić!...

Po chwili jednak jakiś zły duch, czy wrodzona moja podejrzliwość podszepnęła mi wcale co innego. Roześmiałem się jeszcze serdeczniej, niż wprzódy:

— Wierzę ci, wierzę! Mąż przyniósł fotografię żony dla „Mieczka“, szwagierka, to prawda! ale ty wiesz dobrze, że ta fotografia dla ciebie przeznaczona... to nazbyt jasne!

Mieczysław zawahał się chwilkę dziwnem jakiemś miotany uczuciem, a potem rzucił mi się na szyję z najżywszą radością:

— Ty tak sądzisz? Ach, gdyby to była prawda! Byłbym najszczęśliwszym na świecie! Powiedz, powiedz! ty może, co wiesz? Zkąd ci te domysły? może co podsłuchałeś?... ach, może ta rozmowa, której mi nie chcesz powtórzyć?...

W twarzy Mieczysława malowała się taka szczerość, że znów powątpiewać zacząłem o słuszności moich podejrzeń. Jeśli ona go kocha, on przynajmniej nie wie jeszcze o tem! Kocha? czy może dziecięcą kiedyś kochała miłością?... ale w każdym razie to widoczne, że owym adonisem, który ją przywiódł do upadku, nie mógł być Mieczysław! A więc to Cezar! kto jest tym Cezarem? muszę, muszę się dowiedzieć!

Śmiesznością zaiste było posądzać Mieczysława! Gdyby on był owym uwodzicielem, czyżby się pani Krzucka była w takim razie poważyła posłać mu przez męża fotografię z tym podpisem, który takie nasuwa domysły?

Ach, czemu tę myśl mu poddałem!

Mieczysław tymczasem latał po pokoju, jakby oszalał z radości. Muskał sobie wąsik, bił się dłonią w czoło, burzył palcami swoją fryzurę, to znowu wpatrując się w fotografię pani Margerity, składał gorące pocałunki na ramkach.

— Ona moją! ona moją!... och, jeśli to prawda!... Człowieku, ty nie wiesz, ilem ja ci winien za ten twoj domysł!... Tak, tak!... teraz wszystkiego się dowiem!

Porwał mnie w swoje objęcia i w uniesieniu całował mnie w usta, w brodę i po ramionach. Nie potrzebuję wyjaśniać, że mi niewielką tem sprawiał przyjemność. Wydzierałem się z jego uścisków i kląłem siebie w duszy, żem niebacznie tak niebezpieczny podsunął mu domysł.

Kelner wrócił, niosąc na ramieniu moje szopy i niedźwiedzie pana Waleryana, jego suknie pod pachą, a w ręku dwie pary butów.

— Niech wielmożny pan da piątkę. Zabrałem z jego rzeczami do czyszczenia pańskie futro i buty. Nie widział ich pewnie, bo ani pisnął.

Wypłaciłem piątkę z radością, że się na tem skończyło. Chwała Bogu!—pomyślałem: z wielkiej chmury mały deszcz.

— A pani Krzucka — dodał kelner, przypatrując się banknotowi — jak posłyszała, że ja rzeczy zabieram, zapukała do drzwi ze swego pokoju i zawołała: „Mężuś! mężusiu! a każ się zbudzić rano, abyśmy się nie spóźnili na kolej.“ Kazał się zbudzić o piątej, a o szóstej kawa...

— Wiem, wiem, jadą do Wiednia.

Kelner zbliżył się do mnie i rzekł ciszej, konfidencyonalnie:

— On tak twardo śpi... o, proszę pana, że trzeba dobrze walić pięściami we drzwi, aby się obudził.. a chrapie, jakby drzewo piłował... o, ja go zawsze budzę, to wiem...

— Cóż mi tam do tego! — rzekłem zniecierpliwiony uwagami kelnera.—Już dobrze. Możesz iść.

Kelner spojrzał na mnie z ironicznym jakimś uśmiechem.

— Już wielmożny pan nic więcej nie rozkaże? Zbudzić przed szóstą?...

— Nie, o ósmej dopiero.

— Pociąg wiedeński przed siódmą odchodzi— reflektował mnie kelner.

— Cóż z tego? ja do Wiednia nie jadę!

Gdy kelner odszedł, Mieczysław pogroził za nim gniewnie pięścią i rzekł do mnie z cierpkim wyrzutem:

— Widzisz! przez twą nieuwagę, roztrzepanie, lekkomyślność skompromitowałeś kobietę!...

— Byleś ty jej nigdy więcej nie skompromitował!

Mieczysław chodził po pokoju zamyślony i milczał. Kiedy, rozebrawszy się, zgasiłem świecę, on jeszcze chodził i naprzemiany palił papierosy i wzdychał.

Zbudziwszy się nazajutrz rano, spostrzegłem, że już wyszedł. O ósmej wreszcie zjawił się kelner i oświadczył na wstępie, że państwo Krzuccy o w pół do siódmej wyjechali do Wiednia.

VIII.

PIERWSZA MIŁOŚĆ.

— Byłeś na dworcu kolei? — spytałem wchodzącego Mieczysława, wyłażąc z pod kołdry.

— Zkąd wiesz?

— Ba! nie trudno zgadnąć!—mruknąłem z niechęcią i zacząłem wciągać buty...

Ach te buty, te buty! Patrząc na nie, przypomniałem sobie wczorajszą moją awanturę. Wciągnąłem prawy, a nad lewym zacząłem rozmyślać. Zdawało mi sie, że jeszcze ciągle słyszę śmiech panny Katarzyny, gdy mnie spotkała uciekającego po dwa i trzy schody za jednym susem — a bez obuwia...

Dziwna asocyacya idei, którąby p. Ochorowiczowi nastręczyła temat do szerokiej rozprawy psychologicznej: buty moje i panna Katarzyna!

Niemało czasu już minęło od owego fatalnego zdarzenia, a i teraz ściągając lub wciągając ciaśniejszą parę butów, nieraz mimowoli przypominam sobie śliczne jej oczęta... i ten śmiech! ten śmiech!... żal serce ściska — ach!... Ale to wszystko do rzeczy nie należy. Przepraszam!

Mieczysław chodził po pokoju szybkim krokiem, zatopiony w myślach: oczy mu promieniały dziwnym jakimś blaskiem, nie wiem, czy szczęściem, czy miłością? to tak pokrewne sobie usposobienia!

Spojrzał wreszcie na mnie zadumanego nad butem.

— Cóż tak dumasz? — i roześmiał się wesoło.

Westchnąłem.

— A ty?

— Ach, gdybyś wiedział! gdybyś wiedział! — zawołał takim głosem, jakim Akteon byłby opowiadał swoim towarzyszom o tem, co zobaczył — gdyby tego opowiadania boska Dyana nie była uprzedziła zamienieniem go w jelenia.

— No cóż? widziałeś ją, mówiłeś z nią i koniec.

— O ty nie wiesz! ty nie wiesz...

— Powiedz, a będę wiedział, — przerwałem opryskliwie.

— Nie wiesz, jaka ona! jak ja ją kocham!

— Szaleńcze! — No powiedzże: mówiłeś z nią?

— Mówiłem! — zawołał. A wyrzekł to słowo tym samym tonem, jakim prawdopodobnie nieboszczyk Archimedes musiał wygłosić swoje sławne: Znalazłem! *Eureka!*

Bardzo się wiele mieściło w tem jednem: „mówiłem“. Bardzo mi się nie podobało brzmienie tego wyrazu.

Pokiwałem rozczochraną ze snu głową wlewo i wprawo i odpowiedziałem cmoknięciem języka.

— O, ty miałeś słuszność! miałeś słuszność wczoraj, domyślając się... o tak, tak! ona mnie kocha!

I chodząc coraz spieszniej po pokoju, obie dłonie złożył na swojej głowie, jakby się bał, aby mu nie pękła z nadmiaru szczęścia.

Wyskoczyłem na środek stancyi w jednym bucie na nodze, a z drugim w ręku.

— Jakto? czy powiedziała ci?

— Ta fotografia... z tym podpisem, to dla mnie!

I oczy sobie zakrył rękoma, jakby od wielkiego blasku. Już nie chodził po pokoju, ale prawie biegał. Ja za nim.

— Dla ciebie? jakto? czy powiedziała!

— Nie, — o to jej nie pytałem. I pocóżbym pytał? Ja wiem!... Ona mi powiedziała więcej, nieskończenie więcej! Oczy jej mi powiedziały, jej łzy, jej rumieńce!... O mój drogi! twój domysł był słuszny! — jak ty znasz ludzi! jak ty znasz kobiety!... Czym ja się mógł spodziewać tyle szczęścia!...

To mi pochwała zasłużona! — pomyślałem. Znam kobiety? Jak mi życie miłe, ani mi przez głowę nie przeszło, żeby to była taka żmijka fałszywa! Tu dopiero przed mężem się korzy i udaje Magdalenę pokutującą, — tu jakiś Cezar! tu znowu Mieczysław! A to miła żonka!.. Biedny panie Waleryanie!

— Nie uwierzysz, jak była zmieszana, ujrzawszy mnie! Nie wiesz, jak jej było ładnie dziś, zakwefionej w tym szalu i w tem ciemnem futerku!... Bała się widać, abym nie dostrzegł jej pomieszania — i bardziej jeszcze zanurzyła twarzyczkę w tych zwojach: rumieńców swoich, zawstydzenia swego wsydziła się!... O, to anioł, nie kobieta!

Aha! anioł z rożkami — pomyślałem.

— A jakie te kobiety skryte!—mówił dalej zakochany.—Udała, że się nie domyśla, że ja dla niej przyszedłem tak rano... oh, wiedziała ona dobrze o tem: zmieszanie jej zdradziło ją. Pytała mnie, czy wyjeżdżam? czy odprowadzam kogo?... Kogo innego byłyby zmyliły te pytania — ale kto kocha jak ja kocham, ten widzi wszystko jasno w oczach, czyta w sercu! Kobieta, którą kocha, niczego przed nim zataić nie zdolna.

— A gdzież mąż był podczas tego twego czytania?

— Bilety kupował i nie mógł się docisnąć do kasy, a potem kufry oddawał na wagę i znowu musiał długo czekać, zanim na niego przyszła kolej. Szczęśliwy traf mi posłużył, że taki był dziś natłok podróżnych — przeszło kwadrans mogliśmy bezpiecznie sam na sam rozmawiać... Bóg łaskaw!...

— I o czemżeście tak rozmawiali?

— A, to ciekawość!... to moja tajemnica!

Poruszyłem ramionami i westchnąłem w poczuciu własnej bezsilności w zaradzeniu złemu.

— Nie... nie... ja się tylko droczę z tobą. Ja przed tobą nie chcę mieć tajemnicy. Wszak tyś mi pierwszy oczy odsłonił! Gdyby nie ty... nie byłbym wiedział, że mi świeci słońce! żem szczęśliwy! żem kochany!

A bodajżeby mi był język skołczał! — pomyślałem.

— Czy powiedziała ci to?

— Nie potrzebowała mi mówić!... Tyś chyba się nigdy nie kochał. O tem się tak wprost nie mówi. Widziałem! i ona widziała, że widzę! ah, jak była zmieszana, jaka piękna!... Patrzyłem jej w oczy, tak, wprost, śmiało, serdecznie, poczciwie...

— Bardzo poczciwie! — mruknąłem pod nosem sam do siebie.

— A ona bladła i czerwieniała naprzemian i poprawiała ten welon biały, który zasłaniał mi jej usteczka — i szeptała tak nieśmiało — a oczka

spuszczała na dół przed moim wzrokiem pałającym... Czasem tylko ukradkiem badawcze rzuciła na mnie spojrzenie, jakby chciała przeniknąć mnie aż do głębi duszy...

— Ale o czemżeście tak mówili z sobą?

— O czemżebyśmy mówili, jak nie o naszym raju straconym, o szczęśliwem dzieciństwie naszem, o latach razem spędzonych, których każdy dzień, każda chwila niezapomnianą dla mnie pozostawiła pamiątkę!... O gdybyś był widział, jak była wzruszoną w tej chwili, gdym wspomniał jej nieboszczkę matkę!...

— No, to nic dziwnego! — rzekłem nieco uspokojony.

— A gdym znowu wspomniał o naszych wspólnych zabawach, o naszych pustotach... tysiące drobnych szczegółów, które tak żywo mi tkwią wszystkie w pamięci! — jak mnie raz uwolniła z niewoli... i w jaki sposób... Rozpłakała się na to wspomnienie!

— W jakiejże ty byłeś niewoli: tureckiej, tatarskiej?

— W jej byłem niewoli i ona sama mnie z niej uwolniła... W czasie wakacyi zrobiliśmy byli raz wspólną wycieczkę całodniową do lasu — jej rodzice, moja matka i jeszcze kilka rodzin zaprzyjaźnionych. Oprócz jej braci, jej siostry i kuzynki, było jeszcze kilka dziewcząt i nas studentów czterech, czy pięciu, — dość, że bawiliśmy się wybornie: gry, tańce, zabawy... o, nigdy tego dnia nie zapomnę!

— I ta cię wzięła w niewolę? Wieleżeś ty miał lat wtedy?...

— Miałem może siedmnaście lat, może więcej.

— To ona i czternastu nie miała?

— Tak, to było jeszcze dziecko... ale jakie dziecko! dziecko i nie dziecko już! Płonęła w rumieńcach od moich spojrzeń, rozumiała je przeczuciową tą domyślnością serca, wiedziała, że ją ko-

cham, że o niej tylko myślę i marzę, choć nigdy nie mówiliśmy z sobą o miłości. A ja? ja szalałem za nią... tak jak dziś! Czułem, że mi wzajemną w każdem jej słowie, w tonie jej głosu, gdy do mnie mówiła — przy każdem dotknięciu jej ręki, w każdem jej spojrzeniu. Szczęśliwy byłem! Upojony tym czarem pierwszej miłości, wierzyłem, że tak będzie zawsze, całe życie, całą wieczność! Byłem najszczęśliwszy z ludzi!

— Któż przez to niebo nie przeszedł w młodości! Niestety, krótko to trwa, bardzo krótko... No, ale miałeś mi opowiedzieć o jakiemś uwolnieniu z niewoli?...

— A tak, prawda! — Otóż nigdy jeszcze nie była dla mnie taką, jak owego dnia... Wśród zabawy i wesołych okrzyków towarzystwa, czułem, że tak jak ja nią, tak ona mną tylko zajęta: spotykały się ciągle nasze oczy, spotykały się ciągle nasze ręce... była chwila — o mało się usta nasze nie spotkały...

— Ale owa niewola, niewola! — przypomniałem Mieczysławowi.

— Bawiliśmy się w pielgrzyma.. Znasz tę grę?

— Mniejsza o to.

— Otóż „pielgrzym“ opowiada swoje przygody, a przy wymówieniu w ciągu opowiadania wyrazu obranego przez jaką osobę z towarzystwa, osoba ta powinna bezzwłocznie przerwać mu opowiadanie i przyjąć jego rolę, ciągnąc dalej opowieść... Ja zaś, zapatrzony w Margeritę, zupełnie na to nie uważałem i fant po fancie musiałem składać. Wszyscy spostrzegli moje roztargnienie, aż wreszcie jeden z kolegów zawołał: „Ależ Miecio nic nie słyszy i nie widzi, oprócz panny Margerity... Nakoniec będzie musiał już chyba siebie samego na fant jej oddać“ (Margerita bowiem zbierała składane fanty). Wyobraź sobie, jaka nastąpiła konfuzya i jakie raki! Gdy potem przyszło do wykupna fantów — a i ona ich kilka wykupywać musiała, — kuzynka jej zasą-

dziła, aby mi za karę ręce związać i związanego prowadzić przez las — aż do drogi; na nią zaś wydała wyrok, aby to właśnie ona mi związała ręce i związanego prowadziła jak jeńca. — Nie wypadało jej się wzbraniać — dokonała więc tego z pewną zawziętością, aby się w ten sposób pomścić za doznaną konfuzyę — i na tyle węzłów zawiązała sznurek, że potem nikt go już nie mógł rozplątać. Zdarzyło się przypadkiem, iż nikt nie miał z sobą scyzoryka i nie było czem przeciąć moich więzów... koledzy studenci mieli pewnie, ale twierdzili, że nie mają... Szedłem tedy pokornie, jako jej więzień z rękoma spętanemi przed sobą, drogę dawnośmy już minęli, a biedaczka obawiała się nowej konfuzyi, gdy mnie tak związanego przez nią do reszty towarzystwa, do starszych doprowadzą. Cóż więc robi? Zgadnij, co zrobiła?...

— Nie potrafię.

— Przegryzła sznurek swemi ząbkami!...

— Co za dowcip! — szepnąłem z ironią. Mieczysław zatopiony w swoich wspomnieniach, nie zważał na to.

— Ach jaka była przy tem ładna! dotąd ją taką widzę! Przypomniałem jej dziś ten dzień i to zdarzenie. Jeśli ją inne wspomnienia lat naszych dziecięcych widocznie wzruszyły, to przy tem nie mogła już łez powstrzymać, a gdy jej wspomniałem o tych ząbkach — to łzy jak perełki strugą potoczyły się po jej twarzy...

— Cóż w tem tak rozrzewniającego?

— Oh... ty tego nie rozumiesz.... Jakem łezki te obaczył, chciałem do nóg jej się rzucić! ale wtem nadszedł jej mąż...

— Szczęściem.

— Szczęściem — mówisz?... O, ty chyba nie masz serca! Czyż nie widziałeś wczoraj, jaka ona nieszczęśliwa — jak jej potrzeba duszy bratniej na tym świecie, którąby ją pojęła, zrozumiała tak, jak ja, ukochała jak ja!...

— Jeśli nieszczęśliwa — to właśnie mam więjej serca od ciebie, egoisto, i nie chciałbym, abyś ją jeszcze nieszczęśliwszą uczynił!...

— Ja? — i roześmiał się gorzko. — O ty człowieku z sercem miłościwem! — zawołał z ironią — więc według ciebie należy ją zostawić losowi, bez wszelkich pociech serdecznych, bez tej odrobiny szczęścia, jakie daje współczucie, niech więdnie w tęsknocie i smutku, niech drętwieje przy boku tego hreczkosieja. niech zamiera w apatyi...

— A cóż ty chcesz zrobić? — zapytałem z indygnacyą. — Chcesz jej zaszumieć w głowie jakimś lirycznym poematem... czy jurydycznym, chcesz do reszty obałamucić jej serce, zamącić spokój jej duszy, zagłuszyć sumienie i odebrać jej ostatni może skarb, jaki jeszcze posiada: dobrą sławę!...

— Jej dobrą sławę? — zawołał oburzony do żywego — nigdy!... Czyż może uwłaczać dobrej sławie kobiety przyjaźń człowieka, który był towarzyszem jej lat dziecinnych?...

— Przyjaźń! przyjaźń! cha! cha! Powiedziałem ci już, że nie wierzę w te przyjaźnie kobiet, które przed mężami swymi taić je muszą... Czemu nie powiesz: miłość?

— A choćbym powiedział: miłość! to i cóż?

— Miłość idealna — eteryczna! — platoniczna! powiesz zapewne...

— Czyż możesz inny między nami przypuścić stosunek! Trzeba być na to materyalistą najgorszego gatunku!

— Ho, ho! tak się mówi z początku... Ale potem!...

Odwrócił się odemnie z najwyższem oburzeniem.

— Nie mówmy o tem — rzekł po chwili cierpko — niepodobna, abyśmy się zrozumieli! — Ty chcesz, aby spłonęła na stosie ofiarnym dla twego pana Waleryana... a ja tego nie dopuszczę!...

Twarz mu nagle rozgorzała wewnętrznym płomieniem i z wzrastającym mówił zapałem:

— Nie dopuszczę! klnę się na wszystko święte!... Tak mi nakazuje nietylko miłość, ale i obowiązek sumienia... Ja ją ocalę od męża... i od niej samej... choćbym miał życiem to opłacić. — Jadę do Wiednia dziś wieczorem!

— Do Wiednia—dziś wieczorem! —odrzekłem dobitnie.

Zamilkłem. Słów mi zabrakło, aby wyrazić, com czuł i myślał w tej chwili...

Gorączkowym krokiem przeszedłem się po pokoju:—Platoniczna miłość! — mruknąłem sam do siebie i zapaliłem papierosa.

Stanąłem przed miednicą, nalałem wody z butelki i zacząłem się umywać... z papierosem w ustach. Papieros przy zetknięciu z wodą zgasł oczywiście; wypłułem go z ust i z mokrą twarzą i rękoma, z których woda na posadzkę kapała, obróciłem się nagle do Mieczysława. Dobra myśl przyszła mi w tej chwili — nie odkładałem wypowiedzenia jej na potem.

— Słuchaj mnie! — rzekłem spokojnie, a tonem przyjacielskiej prośby — ja ci zaręczam, że ona cię nie kocha!... Gdyby cię kochała, no — to w takim razie postępowanie i twój wyjazd do Wiednia dałyby się choć w części usprawiedliwić. Wina byłaby przynajmniej z obu stron... Ale tu rzecz się ma wcale inaczej: ona cię nie kocha! jej się o tobie nie śni wcale! Jeżeli kiedy miała dla ciebie żywsze jakie uczucie — to wierzaj mi, że go obecnie nie ma. Ten smutek jej i rozstrój wewnętrzny, w jakim ją widziałeś... powiększyłbyś tylko wyznaniem swem... Ty nie wiesz, z jakich on przyczyn pochodzi... nie zatruwaj jej spokoju!... Ona teraz jest w takiem usposobieniu, żebyś ją dobił wyznaniem miłości, którejby odwzajemnić nie mogła... Dolałbyś ostatnią kroplę goryczy do czary. Miej litość nad nią!...

A mnie wierzaj — nie mówię tego bez podstawy — ty się łudzisz tylko: ona ciebie nie kocha!

— Cha! cha! — zaśmiał się szyderczo.—Zkądże ty możesz o tem wiedzieć?

— Mam ważne powody do tego mniemania po podsłuchanej wczoraj jej rozmowie z mężem. — Nie wierzę, aby cię kochała! a to wszystko, coś mi opowiedział o waszem dzisiejszem spotkaniu na kolei — to w gruncie rzeczy jest wielkie nic, które widziane przez twoje różowe okulary młodocianych wspomnień — mogło ci się wydać czemś... Ona cię nie kocha — i nie może kochać... Gdyby tak było, jak sobie uroiłeś, nie miałbym dla niej szacunku...

— Szacunku? cóż znowu! dlaczego? — zapytał obrażony.

— Nie dlatego, aby to było rzeczą, tak potworną zakochać się w tobie—ani dlatego, jakobym miał odsądzać od czci kobietę zamężną, która się w kim zakocha: to jest bowiem nieszczęściem, ale nie podłością...

— A więc dlaczego?

— Dlatego... dlatego... com wczoraj przypadkowo usłyszał...

— A więc o mnie była mowa?

— Nie, wcale nie.

— Cóż mogłeś takiego usłyszeć? — zapytał na wpół niedowierzająco i zamyślił się. — Cóż? zapewnienia wzajemnego przywiązania z czułym panem Waleryanem? Czyż nie wiesz, że to romans z musu?

— Nie, nie — odrzekłem. — Mieczysław widocznie analizował to wszystko w myśli, co odemnie usłyszał.

— A! może nadzieja jaka?...

— Nie, bynajmniej, nic o tem nie słyszałem.

Zadumał się z ręką na czole, tak, jakby rozwiązywał jaki problemat matematyczny.

— Kobiecie zamężnej... powiedziałeś... nie odmawiasz jeszcze szacunku, jeśli się w kim zakocha...

ale jej... odmówiłbyś, gdyby mnie pokochała... Choć o mnie mowy nie było... twierdzisz, że mnie nie kocha... i nie może kochać...

Wzdrygnął się nagle i stanąwszy przedemną, spojrzał mi bystro w oczy:

— Ha!... więc kocha kogo innego?... Ale nie! to niemożliwe!... Ona jak anioł czysta, niewinna! Chyba mąż ją o to posądzał, podejrzywał! dręczył swoją zazdrością!... Powiedz!...

Ocierałem twarz ręcznikiem, nie wiem, czy z wody, czy z zimnego potu.

— Daj mi słowo — rzekłem po chwili namysłu — że to, co ci powiem, pozostanie między nami!

— Daję ci słowo najświętsze!

— I żadnego z tego nie zrobisz użytku?

Podał mi rękę raz jeszcze.

— A więc słuchaj! — zacząłem i przerwałem. Przeraziłem się gwałtownością lekarstwa, którem chciałem go przywieść do upamiętania.

— Słuchaj! w krótkich słowach powiem ci wszystko... Pani Margerita... rozpaczała nad swoim upadkiem!... a mąż, mąż — ten poczciwy pan Waleryan — ten najzacniejszy pan Waleryan, tak niesprawiedliwie przez ciebie osądzony — pocieszał ją!... zapewniał, że o wszystkiem zapomni, że ją kocha zawsze jednakowo!... Teraz wiesz już wszystko... Wiesz, dlaczego cię kochać nie może — i dlaczegobym nie miał dla niej szacunku, gdyby cię kochała...

Mieczysław — skamieniał.

Blady był, jakby wszystka krew zatamowana w obiegu uciekła mu do serca. Czułem, jak tym jednym ciosem zburzyłem cały gmach jego szczęścia— nadzieje jego obróciłem wniwecz... może i wspomnienia zatrułem...

Wyciągnąłem ku niemu obie ręce i zimne jego jak lód dłonie uścisnąłem gorąco.

Pogorzelec, który wszystko w pożarze utracił—

rodzinę i dobytek cały, nie wyglądałby rozpaczniej od niego.

Usiadł na łóżku, podparł ręką czoło na kolanie, patrzył przed siebie martwemi oczyma i milczał.

Szanowałem tę boleść i to milczenie.

— Nie pocieszałem tam, gdzie pociecha jest tylko frazesem i niczem więcej.

Długo to trwało — wreszcie rzucił się na posłanie i przyciskając twarz do poduszki, płakał jak dziecko.

Dałem mu się wypłakać — nic większej nie sprawia ulgi ludziom takiego jak Mieczysław temperamentu. Zacząłem się ubierać i myślałem przytem:

— Cierpi biedaczysko więcej niż się można było spodziewać... No! sangwinik! wypłacze się i uspokoi... i wszystko będzie dobrze... Kuracya radykalna— to prawda!... ale do Wiednia już nie pojedzie— niema obawy.

Zawiązywałem właśnie krawatkę przed zwierciadłem — gdy wtem Mieczek zerwał się na równe nogi i zapytał z jakimś szczególnym akcentem tłumionej wściekłości:

— A on?

— On? Mówiłem ci przecież, że jej wszystko przebaczył.

— Ale on! on!... nie o męża pytam!... Kto jest on? on?...

— Ah... rozumiem! Na cóż ci się zda to wiedzieć?... ja nie wiem, kto ten „on". Nazwiska nie znam, usłyszałem tylko imię, któreby łatwo mogło na fałszywy trop naprowadzić. Nie pytaj mnie napróżno — bo gdyby ci się zdawało, żeś go odszukał, mógłbyś jakie szaleństwo popełnić...

— O nie! — zaręczał Mieczysław łagodnym głosem, i prosił: Powiedz!... powiedz mi. Kto wie, może on ma jakie jej listy, któreby mu trzeba odebrać, aby jej nie skompromitował...

— Nie nalegaj na mnie — odrzekłem po chwili namysłu.—Nie powiem. Wszelka interwencya z czy-

jejkolwiek strony, z wyjątkiem męża, jeszczeby jej bardziej zaszkodziła.

Mieczysław nalegał — ja się uparłem: nie wymieniłem imienia uwodziciela.

Na tem skończyła się nasza rozmowa. Wyszedłem do miasta dla załatwienia różnych interesów, odwiedziłem znajomych i wróciłem do stancyi dopiero wieczorem.

Nie zastałem w pokoju naszym — ani Mieczysława, ani jego rzeczy.

Odjechał do Wiednia.

IX.

WYPRAWA PO SZCZĘŚCIE.

Pojechał do Wiednia.

— Szaleniec! — pomyślałem.—I zacząłem spokojnie zastanawiać się nad tem, jakie może za sobą pociągnąć skutki ta jego wyprawa.

— Pani Waleryanowa musiałaby być chyba kobietą do gruntu już zepsutą, aby Mieczysławowi udało się obałamucić jej teraz głowę. Po tym świeżym upadku, którego tak szczerze zdaje się żałować, po tej gorącej skrusze z jej strony i wspaniałomyślnem przebaczeniu męża, niepodobna przypuścić, aby tak rychło mogła znowu upaść. Nie, chybaby ani iskry szlachetności w jej sercu nie było! Później zjawienie się Mieczysława możeby się mogło było stać dla niej niebezpiecznem — ale obecnie niema obawy. Może to i szczęście, że teraz właśnie szturm przypuści: dostanie taką odprawę, że nie wróci więcej.

— Ale te wspomnienia dzieciństwa, które wedle jego opowiadania tak żywe na niej miały wywrzeć wrażenie?... Może to była pierwsza jej miłość?... Pierwsza miłość tak łatwo zmartwychwstaje za lada podmuchem!... A jej łzy na przypomnienie owych więzów rozgryzionych ząbkami? Co to wszystko znaczy?... Nie, nie! te łzy, to były łzy wstydu, wywołane przypomnieniem straconej niewinności lat dziecięcych i obecnego upadku...

— Co to może być za figura, ów Cezar?

I przypomniałem sobie żywo wyrazy p. Waleryana i ton jego głosu, jakim wspomniał o Cezarze: „Oh, miałbym ochotę w łeb mu palnąć!“ A potem, w dalszym ciągu ich rozmowy, gdy pani Margerita obawiała się, aby tajemnica jej się nie wydała, on na to: „Cezar nie wygada!“ i zaśmiał się rubasznym śmiechem.

Rubasznym śmiechem! rubasznym! Gdyby to był dziki śmiech, piekielny, szatański, szyderczy — rozumiałbym, że pan Waleryan użył jakiegoś „radykalnego“ środka, który go zupełnie i na zawsze zabezpiecza od samochwalstwa Cezara, ale śmiech taki — hreczko-siejsko-rubaszny... to nad pojęcie!

Rozmyślając nad tą zagadką, poszedłem do restauracyi. W rynku, na linii A—B. spotkałem najbliższego sąsiada pp. Krzuckich, znanego nam już p. Krzysztofa.

— Liczne pan masz sąsiedztwa na wsi? — zapytałem go w ciągu pogawędki.

— A no: Krzuckich, p. Henryka, p. Stanisława— to najbliższe; potem p. Bartłomieja w Borku, p. Antoniego Kwantowicza w Wólce, hrabiego Alfonsa, państwa Poszeruszewskich, pana Jana, pana Marcina, pana...

— Pana Cezara — wtrąciłem zręcznie.

— Jakiego pana Cezara? — zapytał zdziwiony.

— A prawda! to dalej, to już nie sąsiedztwo...

— Dalej? Ja i w całej okolicy nie znam żadnego Cezara. O jakimże to Cezarze mówisz?

Przymrużyłem oczy i zacząłem sobie dłonią czoło pocierać:

— Ach... niechże go! jaką ja mam słabą pamięć do nazwisk!... aj, jak mnie to męczy! Cezar... Cezar... zaraz! zaraz!...

— Hm, Cezar? co to za Cezar?

— Dalipan nie mogę sobie przypomnieć!... ani rusz, aj, aj, tak jakbym miał na języku... aha! już mam! nie, nie!

— Et, uroiło ci się chyba, niema tam u nas żadnego Cezara! Przecież ja tam wszystkich znam na mil dwadzieścia w około... całą okolicę jak moją kieszeń... A jakże się wieś nazywa!

— O! wsi to już zgoła nie wiem. Ale żegnam łaskawego pana, bom dyabelnie głodny.

— Zaciekawiłeś mnie. Ktoby to mógł być?

— Może on zresztą tam nie mieszka w okolicy: wiem tylko, że bywa w tamtych stronach...

— U kogo?

— U Krzuckich i w innych domach zapewne...

— Nie widziałem tam u nich nigdy żadnego Cezara...

— Ale bywa z pewnością!

— Nie słyszałem! a przecież wiem kto u nich bywa, a zresztą ktokolwiek do nich jedzie, to musi jechać przez Podlesie, tuż koło mego domu. Chyba ci się śniło...

— Może. Do widzenia.

Po tej niefortunnej próbie zasięgnięcia wiadomości o Cezarze zrobiłem w restauracyi dwie dalsze, niemniej bezskuteczne, interpelując w podobny sposób pana Jana i pana Edmunda. Niezrażony niepowodzeniem, zapytałem nazajutrz pana Henryka — z tym samym skutkiem. I tak samo dni następnych Marcellego i nie pomnę już kogo.

Wypytywałem również o sąsiadów w okolicy p. Balbiny, siostry Waleryana, dokąd pani Krzucka dość często wyjeżdżała. I tam również nie było Cezara.

Kilka dni już upłynęło od wyjazdu Mieczysława. Pewnego dnia, wróciwszy wieczorem z teatru, zastałem go z powrotem z Wiednia, rozlokowanego znowu we wspólnem naszem mieszkaniu. Rozebrał się już był i położył do łóżka. Spał — i nie słyszał mnie wchodzącego. Przypatrzyłem się śpiącemu. Na pierwsze wejrzenie wydał mi się zmieniony na twarzy, jakby po przebytej ciężkiej chorobie.

Nie obudziłem go — i położyłem się spać, myśląc o naszej jutrzejszej rozmowie. Co się stało? z czem wrócił?

— A, na miły Bóg! — wrzasnął mi nazajutrz nad uchem pan Krzysztof, który przyszedł mnie odwiedzić — dziewiąta godzina! Któż widział tak długo spać!

Ocknąłem się ze snu, przetarłem oczy i poznawszy p. Krzysztofa, podałem mu rękę.

— O czemże się śniło?—zapytał ze śmiechem, widząc moją zaspaną minę.—Może znowu o tym panu Cezarze o którego się wszystkich rozpytujesz? Co to za Cezar!

W tej chwili przypomniałem sobie, że w drugim pokoju śpi Mieczysław, wskazałem więc panu Krzysztofowi na drzwi na wpół przetwarte i rzekłem półgłosem:

— Mów pan ciszej, tam śpi mój towarzysz...

— Hę?... co mówisz?—zapytał głośniej jeszcze przygłuchy nieco pan Krzysztof.

— W drugim pokoju śpi mój...

— Ja nie śpię już... Dzień dobry! — odezwał się Mieczysław.

Pan Krzysztof zapytał mnie, z kim mieszkam, a gdy mu powiedziałem, powrócił do swego pytania, z którem był przyszedł.

— Co to za jeden, ten Cezar? klina mi wbiłeś w głowę. Zeszliśmy się wczoraj w resursie: ja, Edmund, Henryk, Jaś, Marceli... i opowiadam im, żeś się ze mną spierał, że w mojej okolicy mieszka jakiś tam Cezar...

— Ale nie! — zaprzeczyłem stanowczo.

— No, czy mieszka, czy bywa... Mówiłeś, że bywa u Krzuckich.

— Tak!... słyszałem, że bywa — odparłem jak na mękach.

— Otóż ja im opowiadam, a oni w śmiech! Co takiego? pytam. A oni na to, żeś ty każdego z nich z osobna wypytywał o tego Cezara... „I mnie“ mówi Marceli. „I mnie“ Henryk, „i mnie! i mnie!“ A wiesz co, jak mi Bóg miły, dyabelnie mnie zaciekawiłeś: co to za Cezar? powiedzże już raz! I co ci zależy tak na tem, aby się dowiedzieć...

— Wszak wiesz, panie Krzysztofie dobrodzieju, co mi zależy: męczy mnie to, że jego nazwiska przypomnieć sobie nie mogę.

— I nie możesz?

— Ani rusz!

— Chachacha! bo ci się przyśnił pewnie, powiadam, że ci się przyśnił! Ot co jest, i kwita... Długo tu jeszcze zabawisz?

— Chciałbym się jeszcze doczekać powrotu p. Waleryana dla ukończenia z nim interesu mojej ciotki...

— Poco on do Wiednia pojechał?

— W interesach jakichś, jak mówił.

— Mówił?... on tam niema żadnych interesów! No, ale bywaj zdrów... wstawaj! A nie sypiaj do dziewiątej, to niezdrowo!

Po odejściu pana Krzysztofa wszedł do mego pokoju Mieczysław, na wpół już ubrany.

Uścisnął mi rękę i spojrzał badawczo w oczy. Blady był, smutek i znękanie moralne przebijały się z całej jego postaci.

— Nie gniewasz się na mnie? — rzekł, trzymając moją rękę w swojej dłoni, i usiadł na mojem łóżku.

— Ja? za co?

— Żem mimo twoich przyjacielskich uwag pojechał do Wiednia...

— Mój drogi, nacóżby się tu gniewy przydały? i cóżbym mógł mieć za prawo gniewać się za to, żeś mojej rady nie posłuchał! Mogę ci tylko powiedzieć raz jeszcze: źle zrobiłeś!...

— Wierzaj mi, że nie... Być może zresztą, żem źle zrobił nie słuchając cię... ale choć wszystko inny obrót wzięło niż pragnąłem, mogę choć tyle powiedzieć: dobrze się stało, żem pojechał!... przynajmniej to zyskałem, że się już łudzić nie będę, jeżeli to zysk! Może strata?... bo mi i złudzeń dziś żal... ha, ale się już nie łudzę.

— Nie rozumiem cię. Czy przekonałeś się, że cię ona nie kocha!

— Tak! — odpowiedział mi zcicha tym głosem, jakim więzień po odczytaniu mu wyroku odpowiada towarzyszom na zapytanie: czy na całe życie skazany został.

— Powiedziała ci to? — zapytałem po długiej pauzie.

— Powiedziała.

I znowu długie nastało milczenie. Mieczysław patrzył przed siebie zamglonemi oczyma, myśli jego daleko gdzieś odbiegły. Czasem lekki rumieniec przemknął mu po twarzy, a usta drgnęły nerwową kontorsyą tak, jakby w pamięci i w uczuciu przechodził poraz drugi świeżo przebytą jakąś bolesną scenę.

Jakby z gorącej łaźni wyskoczył, otrząsł się nagle z dumania gwałtownym ruchem, zaczerpnął powietrza głębokim oddechem i zawołał jakby sam do siebie:

— Niepojęta kobieta!...

Zwrócił się ku mnie.

— Czy ty ową ich rozmowę, którąś mi powtórzył przed mojim wyjazdem do Wiednia, dobrze słyszałeś?

— To com powtórzył, słyszałem dobrze.

— Niepojęta kobieta! Sfinks! sfinks prawdziwy. Jak te wszystkie sprzeczności mogą iść z sobą w pa-

rze!... A prawda! on się Cezar nazywa? ów *on*, którego nazwiska nie znasz, a którego imienia nie chciałeś mi powiedzieć!... Nie chciałeś mi powiedzieć, a zastąpił cię dzisiaj p. Krzysztof. Pocóżeś ty się tak gorliwie dopytywał o tego Cezara?

Prawdę mówiąc sam sobie na to pytanie odpowiedzieć nie umiałem. Mieczysław powtórzył parę razy to imię „Cezar!... Cezar“, a za każdym razem z inną intonacyą głosu, a potem wpatrzył się we mnie z ironią.

— No, no, nie rób takiej przestraszonej miny, nie bój się, ja żadnego szaleństwa nie popełnię. Dochodzić nawet nie myślę, kto on. Na co mi się to wszystko przydać może!... Już mi to wszystko obojętne!...

I zaśmiał się żółciowym śmiechem.

— Wyleczyłem się! ha, ha! wyleczyłem się.

— Oby tak było! ale ten śmiech twój i twój wygląd dzisiejszy inaczej świadczy.

— Ba! cóż chcesz! rekonwalescent jestem! Jak mam wyglądać inaczej po ciężkiej chorobie. Rekonwalescent jestem.

I dodał z niewypowiedzianym smutkiem:

— I zostanę nim może już tak przez całe życie... rekonwalescencya trwa czasem długo... aż do grobu.

— Powiedz mi przecie — rzekłem po chwili — jak to było?

— Jak?... rzecz prosta!... powiem ci krótko... Nie żądaj szczegółów i nie pytaj potem już więcej o to. Ty nie wiesz, jak mi jest, gdy o tem mówią! Cha,cha...moja rekonwalescencya wymaga, abym przynajmniej nie mówił o tem, bo myśleć...

Przeszedł się parę razy ciężkim krokiem po pokoju, stanął przedemną, pochwycił cygaro, odgryzł koniuszek z taką zaciętością, jak niegdyś przed wynalezieniem odtylcówek odgryzali żołnierze patrony, popsuł gwałtownem tarciem kilka zapałek, zapalił

wreszcie i zaciągnąwszy się kilkakrotnie dymem wydmuchał parę kłębów przed siebie.

— Dwa razy byłem... nie przyjęto mnie. Byłem trzeci raz... a wiem, że wtedy męża nie było w domu: „pani cierpiąca na fluksyę, przeprasza“ rzekła mi służąca... a wiem, że wyjeżdżała z hotelu tego dnia i przez kilka godzin bawiła gdzieś w mieście. Nie wiedziałem, czy spróbować raz jeszcze, czy nie. Biłem się z myślami i nie mogłem się zdecydować. Nazajutrz szedłem tam już... i zawahałem się w bramie hotelu: poszedłem do galeryi obrazów. Bawiłem tam kilka godzin... Nic nie widziałem... nie wiem, com widział. Wróciwszy po obiedzie do hotelu, zastałem bilet męża. A przecież! pomyślałem, jest rewizyta, to mogę pójść. Wtem mąż wchodzi, obcałował mnie nie wiem ile razy, „mój królu, drugi raz już dziś jestem u ciebie, koniecznie chciałem cię zastać“ i zapraszał mnie gorąco, abym do nich przyszedł wieczorem. „Jutro będziemy na operze, ale dzisiaj siedzimy cały wieczór w domu“. A jakże fluksya? zapytałem. „Ho, już Margosia zdrowa całkiem, jak rybka zdrowiuteńka! ani śladu tej fluksyi! tego mumpsa! Będzie ci rada! bo cię bardzo lubi! (mówił mi „ty“) dziś już nie powiesz, że spoważniała! zawsze taka sama... taki sam trzpiot... jak ją znałeś!“

Rzucił się w fotel, wydmuchał znowu niebieskawy obłok tytuniowego dymu z gardła i mówił dalej:

— Gorączka mnie ogarnęła. Nie mogłem doczekać się tego wieczora. Poszedłem znacznie wcześniej niż zwyczaj każe. Jego nie było w domu, tylko sama pani...

— I znowu cię nie przyjęto?

— Owszem. Ona sama! sama! wyobraź sobie, jak mi serce biło!...

— Ale, powiedz mi — przerwałem — cóżeś ty właściwie zamierzał z nią mówić? Jaki cel miałeś jadąc do Wiednia po dowiedzeniu się odemnie o tem

świeżem jej przejściu... o jej błędzie i żalu, o przebaczeniu męża?...

— Nie przerywaj mi... Jaki cel? czy ja wiem?... Dziwne twoje pytanie! jaki cel ma człowiek, który kocha i chce widzieć ukochaną?... a tembardziej, jeśli mu się marzy, że jest kochanym... a przynajmniej, że może być kochanym! Co tu pytać: jaki cel!... Co to mi znaczy, że dała się uwieść jakiemuś tam Cezarowi!... że upadła! Daruj mi, ale jam temu nie wierzył... ja dziś jeszcze... zaledwie temu wierzę.... Ona i upaść! bajka z tysiąca i jednej nocy!... Ta rozmowa podsłuchana przez ciebie?... ja nie wiem: co, jak, ale ja nie wierzę, żeby ona upadła.

— Więc sądzisz, żem ja sobie może skomponował całą tę rozmowę?... może dlatego, aby ciebie odwieść.

— Ja nic nie sądzę... ja nic nie sądziłem jadąc do Wiednia... pojechałem! Kocham i pojechałem.

— Więc ostatecznie: nie wierzysz w jej upadek?—zapytałem z gorzkim uśmiechem.

— Nie dręcz mnie! nie znęcaj się nademną, abym ci powiedział?... Wierzę ci niestety, wierzę... ci niestety, wierzę... jakże mógłbym nie wierzyć!... wierzę. ale nie chcę wierzyć... nie chcę! i proszę cię: nie mów mi o tem. Cóż ci na tem zależy, aby kalać moje świętości!... Nie pytaj mnie o nic... Chcesz słuchać, czy nie?

— Słucham.

— I cóż z tego jeśli upadła? Upadła, dała się uwieść i może nikczemnikowi jakiemu, którym sama dziś już pogardza, to i cóż? Upadła, bo kobieta słaba i nieszczęśliwa!... To cóż dziwnego!... Ten pan Waleryan może być i najpoczciwszy człowiek w świecie, ale to starzec i człowiek, który po ziemi tylko chodzić potrafi. Nie chodzić... pełzać chyba!... I jakże chcesz, aby ona go kochać mogła? Czy możesz wątpić, że ona nieszczęśliwa?... a nieszczęście wszystko tłumaczy! Kobieta tak bardzo pragnie szczęścia! nie może żyć bez miłości!... Mnie nie było, sądziła może,

żem ja zapomniał już... to na chwilę i niegodnemu oddała serce, temu Cezarowi... Ale kochać go, o, nie! kochać go nie mogła! bo gdyby go była kochała, to nie mogłaby tak się czuć skruszoną i złamaną, jak opowiadałeś... i tak znowu rychło zapomnieć o nim i o całem przejściu... i taką być teraz, jak ją zastałem...

— Jakże ją zastałeś?

— Jak?... Cha, cha, cha!

I zaśmiał się dziwnym jakimś śmiechem, takim, jakimby zaśmiał się może człowiek, któryby w dniu pogrzebu najdroższej dla siebie istoty, był przypadkowo świadkiem jakiejś niewypowiedzianie komicznej sceny.

— Czego tak się śmiejesz?— zapytałem.

— Śmiałbyś się i ty... któżby się nie śmiał, gdyby ją zobaczył taką... i to w kilka dni po tych łzach i po tym smutku głębokim... i po tej rozmowie jej z mężem, którą ty mi opowiedziałeś! Znałem ją przecież od dziecka, widywałem ją w różnych usposobieniach dobrego humoru, w dniach najbardziej słonecznych... słuchaj! takiej wesołej, rozpromienionej, śmiejącej się najswobodniejszym śmiechem, takiej do pustoty prawie rozżartowanej, rozswywolonej nigdy jeszcze nie widziałem!

— Czy nie udanie?

— I ja tak sądziłem w pierwszej chwili i powiedziałem jej to. Powiedziałem jej tonem bolesnego wyrzutu, że przed przyjacielem dziecięctwa swego odgrywa rolę szczęśliwej kobiety. „Zaprzestań pani, bo wiem, ile cię to kosztuje. Jeśli chcesz abym w Warszawie ogłosił, żeś najszczęśliwszą w świecie, powiem co każesz, ale przedemną nie zadawaj sobie przymusu, bo nie możesz sobie przypuścić, aby mnie to zdołało w błąd wprowadzić; zresztą, wszak widziałem cię w Krakowie!...“

— I cóż ona?

— Wybuchnęła najweselszym śmiechem i snadź przypuszczając, że moje uwagi były tylko prostym

żartem i że o jej szczęściu powątpiewać nie mogę, przybrała wyraz i pozę teatralną nieszczęśliwej ofiary i układając twarz do patetycznej boleści, narzekać zaczęła z emfazą na starego męża tyrana, za którego ją gwałtem wydano... a wśród tej tragikomedyi parsknęła nagle śmiechem tak pustym, że już o jego szczerości powątpiewać było niepodobna... Ach, jaka była urocza! jaka czarująco piękna!...

— Dziwna kobieta!

— Nie wiedziałem zrazu co mówić. Wszystko, com mówić zamierzał, rozprysło się o ten śmiech i o tę nieudaną wesołość. Najsmutniejszym pod słońcem byłem człowiekiem, gdym szedł do niej, serce mi się z bólu ścisnęło... a tak mnie oczarowała swoją pustotą, żem w końcu sam się śmiać zaczął. Siadała, to wstawała, to znowu przypominając różnych naszych znajomych przybierała ton i sposób ich mówienia, ich gesta i ruchy... Co nie wyprawiała w swej pustocie!... Zdawało mi się, żem znowu studentem, żem znowu w owym lasku, gdyśmy się bawili w kotkę i myszkę i w pielgrzyma... Czarująca była! nigdym jej jeszcze tak piękną nie widział!...

— Czy zawsze jeszcze w tym haremowym woalu?

— Nie, w jakiejś tunice greckiej... Ach, jaka piękna! A jak ona wie sama o tem, że piękna.., Przechodząc koło zwierciadła kilka razy zaśmiała się sama do siebie najponętniejszym uśmiechem... Te usteczka! te ząbki! te ząbki! te oczy!... A spostrzegłszy, że widziałem, jak sama siebie kokietuje w lustrze, zarumieniła się i zapytała mnie filuternie: czy bardzo zbrzydła od czasu naszego niewidzenia. Cóż jej miałem powiedzieć!... Zmora jakaś dusiła mnie za gardło. Słowa nie wyrzekłem.

Zakrył oczy obiema dłońmi, jakby zasłaniając je przed tem, co go otaczało, chciał przed nie przywołać uroczy obraz pani Margerity. Dumał tak czas jakiś, a ja tymczasem spuściwszy nogi z łóżka, pa-

trzyłem się na przygotowaną parę butów... i marzyłem o... ale to nie należy do rzeczy!

Ocknął się wreszcie z zadumy.

— No i cóż dalej? — zapytałem.

— Rozgawędziła się i zaczęła mi opowiadać o swoim domu na wsi, o swoich zajęciach, swojem gospodarstwie, o swoich sąsiedztwach. Słuchałem jej jakby jakiejś czarodziejskiej muzyki... słuchałem i słuchałem bez końca... i już potem nic nie słyszałem. Odbiegły mi przy niej myśli gdzieś daleko. Sam nie wiem, o czem myślałem!... Zastanawiałem się nad tem, co to wszystko znaczy?... jak ona może być tak szczęśliwą z tym starcem?... jak ona, tak niewinna, tak dziecinna jeszcze i taka anielska... jak ona upaść mogła? i jakim mógł być ów człowiek, który ją przyprowadził do upadku?... rozpacz, żal, łzy i łzy, a teraz wesołość taka?... jak ona może być tak wesołą w tej chwili? Zbudziła mnie wreszcie z tej zadumy: „ja opowiadam, plotę trzy po trzy, a pan nie słuchasz! o czem pan tak się zamyśliłeś?“ O czem? ha! nie śmiej się ze mnie! mnie się uroiło, że ona z powodu mego przybycia taka wesoła, taka szczęśliwa! Całą teoryę wyroiłem dla wytłumaczenia tych zagadek! tych sprzeczności!... Nieprawda! ona nie upadła! to były przywidzenia męża, którym, nie mogąc ich z głowy mu wybić, w końcu przeczyć przestała. Oto wszystko coś ty słyszał. Pan Waleryan stary dziwak, fiksat, ale zresztą musi być dobry człowiek i ona go może kocha jak ojca, ale mnie... mnie... o, nie mogłaby o mnie zapomnieć tak łatwo.

— Jakto? wyobraziłeś sobie, że ona cię kocha?

— Tak!—odrzekł z gorzkim uśmiechem rozczarowania.

— Że rozpływała się we łzach ujrzawszy cię w Krakowie, a teraz przekonawszy się, że ją ciągle kochasz niezmiennie, szczęśliwa? w siódmem niebie? I cóż jej powiedziałeś?

— Powiedziałem jej wszystko. Patrzyła na mnie zrazu z niedowierzeniem, potem ze zdziwie-

niem, jakby urażona... i spoważniała nagle. Jam się jeszcze łudził! jeszcze nic nie rozumiałem.

Uśmiechnąłem się mimowoli ironicznie, Mieczysław to spostrzegł.

— Prawda? to śmiesznie!... Cóż ci mam mówić więcej? łatwo ci się domyśleć, jak się ta scena skończyła. Mówiłem jej o mojej tęsknocie... rozpaczy... miłości... Chciałem ją pochwycić za rękę... usunęła się... No... i koniec historyi. Smiej się!...

— Nic ci nie powiedziała?

— Powiedziała mi tonem bolesnej wymówki... ale spokojnie i bez gniewu, że jej były zawsze drogie wspomnienia lat dziecięcych i przyjaciół jej z tych lat, ale że nigdy nie przypuszczała, abym tak źle sobie mógł tłómaczyć jej serdeczną dla mnie życzliwość i tak mało miał dla niej szacunku. Słyszysz ty? szacunku!... Nie dała mi odpowiedzieć. „Zegnam pana“... i wychodząc spiesznie do drugiego pokoju, stanęła we drzwiach jak królowa i rzekła jeszcze: „Powiem memu mężowi, że pan skutkiem otrzymanego telegramu odjechać musisz dziś do Warszawy... i byłeś tu z pożegnaniem.“ Zamknęła drzwi za sobą na klucz.

Tu Mieczysław spróbował udawać, że się śmieje. Nie szło mu to. Krew uderzyła mu gwałtowną falą do głowy. Wstał z twarzą rozczerwienioną i rzucił niedopalone cygaro w kąt pokoju. Gwiznął i zaczął przechadzać się z rękoma w kieszeniach... jak szuler po zgraniu się do szeląga.

Zasłuchany w opowiadaniu nie spuszczałem z niego oka, jakbym oczekiwał końca powieści.

— Czegóż tak patrzysz na mnie?... Koniec już, koniec! Zabawiła cię bajeczka?... Już koniec. Morału nie ma, chyba ten jeden, że...

Nie dokończył, sna powstrzymał się wczas od powiedzenia jakiej bajronicznej niedorzeczności. Przygryzł wargi, brwi zmarszczył.

– Jadę dzisiaj do Warszawy.

X.

KUMAKOWCE.

— Mój *królu!* przyjedź-że do nas do Kumakowiec, daj mi słowo, że przyjedziesz!

Temi słowy żegnał mnie poczciwy pan Waleryan, gdy doczekawszy się jego powrotu z Wiednia i załatwiwszy z nim ostatecznie interes mojej ciotki, złożyłem pp. Krzuckim pożegnalną wizytę.

Obcałowany przez p. Waleryana, uścisnąłem wyciągniętą ku mnie malutką rączkę pani Margerity, która ze swej strony dołączyła zaprosiny.

— Przyjedź pan, serdecznie prosimy. Ja nie zwykłam prosić przez grzeczność... ja nie umiem być grzeczną... jestem albo niegrzeczną, albo serdeczną... zwyczajnie, jak kobieta ekscentryczna. A więc, kiedy proszę, to trzeba przyjechać, trzeba koniecznie... bo naprawdę pogniewałabym się na pana.

Ukłoniłem się dość ceremonialnie w odpowiedzi.

— Bardzo pięknie się pan kłania... ale taki ukłon jest najokropniejszą niegrzecznością w odpowiedzi na takie zaprosiny. Ukłoń się pan inaczej.

Uśmiechnąłem się dość kwaśno.

— Nie, nie... i to nie pomoże. Musisz się pan inaczej ukłonić. Mężusiu, nie puść pana dopóki się inaczej nie ukłoni, bo mnie tym swoim poprzednim ukłonem zrobił niegrzeczność. Musisz pan mnie teraz przeprosić!

Waleryan śmiejąc się basowym swoim głosem, stanął we drzwiach i zagrodził mi drogę. Miałem już na ustach jakieś banalne wyrazy zimnej grzeczności, ale pani Krzucka, patrząc na moją zakłopotaną minę, wybuchnęła śmiechem prawdziwie dziecięcym.

— Widzisz pan, nic nie pomoże. Niema ratunku! Radbyś pan z duszy być niegrzecznym, ale tego nie zrobisz, bo mego męża szczerze kochasz

i nie zechcesz mu zrobić przykrości. O, ja pana już znam! i wiem, że przez delikatność dla mego męża ulegniesz w końcu kaprysowi jego żony... Amnestya dla mnie przez wzgląd na niego! O, inaczej nie byłabym tak śmiałą... i tak wymagającą.

Tu karykaturalno-ceremonialny ukłon z jej strony.

— Powiedz-że pan i daj słowo: kiedy przyjedziesz do Kumakowiec?... Mój mąż nikim się tak jeszcze nie ucieszył, jak się panem ucieszy... a więc i ja także... A więc?

— Radbym jaknajrychlej służyć państwu... Będę się starał...

— Miesiąc? dzień?

Musiałem uledz i przyrzekłem, że przyjadę w marcu.

Prawdę mówiąc, nie wielką miałem do tego ochotę—a powiem czemu.

Z przyjemnością widywałem zawsze poczciwego pana Waleryana, widok jego przypominał mi najszczęśliwsze lata mego dzieciństwa, a szczera jego dla mnie przyjaźń, którą po ojcu otrzymałem w spadku, była mi drogą. Pominąwszy nawet zresztą osobiste względy, postać p. Waleryana była mi wielce sympatyczną: pan Waleryan był typowym reprezentantem wiejskiego szlachcica dawno minionych czasów, a reprezentował godnie najlepszy z typów szlacheckich, ten, który, nie grzęznąc w zastarzałym konserwatyzmie, z nowożytnemi prądami wieku łączył staropolską zdrową, serdeczną, acz może nieco rubaszną prostotę.

O ile jednak miłym mi był zacny hreczkosiej, którego zaprosinom chętnie uczyniłbym był zadość, o tyle przykro mi było od chwili pamiętnej mi podsłuchanej małżeńskiej rozmowy — widzieć go mężem tej młodej, czarującej roztrzepanicy, która go zdradziła, której on z tak niesłychaną przebaczył pobłażliwością, a która po tej świeżej katastrofie, tak rychło zdołała żal swój ukoić i łzy otrzeć i wrócić do

dawnej pustej wesołości—tak, jakby się nic nie było stało.

Wesołość ta pani Krzuckiej, jej pustota, jej humor żartobliwy—wyznaję szczerze, były mi wstrętne od chwili, gdy stałem się mimowoli posiadaczem małżeńskiej tajemnicy. Gdybym był o niej nie wiedział, byłbym podziwiał dowcip pani Margerity, uwielbiał dziecięcą swobodę jej umysłu, a oczarowany jej pięknością—byłbym poczytywał mego starego przyjaciela za najszczęśliwszego człowieka pod słońcem. Wiedząc zaś o jej upadku, to, coby mnie było wprawiało w zachwyt—raziło teraz najgłębsze moje uczucie moralne. Jakto? czyż tyle nawet nie ma poczucia winy w tej kobiecie, aby patrząc na męża, któremu się dopiero sprzeniewierzyła — nie czuła rumieńca wstydu na twarzy, nie spuszczała oczu ku ziemi! Mimo odprawy danej Mieczysławowi, która ją nieco rehabilitowała w mej opinii, *wesołość* jej obecna po tak świeżem wobec męża przewinieniu, bardziej ją potępiała w mem przekonaniu, od samej-że nawet winy. Wina mogła być skutkiem kobiecej słabości charakteru — wesołość była w mych oczach tylko dowodem braku serca i wstydu, tych najcenniejszych klejnotów niewieściej duszy.

Nie lubiłem pani Krzuckiej, znienawidziłem ją. Nienawidziłem tembardziej, im bardziej mnie uderzała bystrość jej umysłu, iskrząca dowcipem rozmowa, urok jej postaci i piękność.

Ach te oczy! od najpiękniejszych gwiazd piękniejsze!

Ach te usteczka malutkie, ciemno-koralowe! — te dołki figlarne na śnieżnej białości policzkach! ten uśmieszek, któryby i najsmutniejszego pojednał ze ze światem mizantropa, te ząbki jak sznurek najdobrańszych perełek, nanizanych w koralowej czarze!.. ta bródka nieco uparta, ten podbródek rozkoszny, ta szyja bieluchna i ten biust Milońskiej Afrodyty!— ta cała jej postać, ruch każdy, dźwięk głosu.... ta

kapryśna nieco, ale pełno wdzięku oryginalność w intonacyi każdego wyrazu!...

Biedny panie Waleryanie! myślałem, patrząc na nią. Niedługo trzeba będzie czekać — a po owym tajemniczym p. Cezarze nastąpi jaki tuzinkowy Don Juan, którego czarne wąsiki albo cera gładka i gładsze słówko zdobędą wyłom w tem wesołem serduszku! I przyszły mi na myśl słowa wieszcza:

...ciała ubrane w suknie; a polot ich sukien, powiewem trącanych, duchowniejszy niż dusza ich...

Biedny panie Waleryanie!...

Nienawidziłem pani Margerity—nie za tę krzywdę, którą już wyrządziła mężowi, ale za te wszystkie, które wedle moich nieomylnych obliczeń wyrządzić mu jeszcze miała.

Patrząc na nią i na niego, mówiłem sobie w duszy: Ona—to zgryzota jego, hańba jego—i jego śmierć!

Ach, jaka piękna ta śmierć niebieskooka, o rumianych usteczkach! Piękna jak młodość, jak życie w całej swej pełni, jak raj na ziemi.

— Brrr! to śmierć!...

Wzdrygałem się na myśl o niej. Bądź co bądź jednakże trzeba dotrzymać słowa danego tej nadobnej śmierci i pojechać do Kumakowiec, a to tembardziej, iż p. Waleryan dwoma listami przypomniał mi daną obietnicę.

Pojechałem tedy do mojej ciotki w ostatnich dniach marca, a ztamtąd wybrałem się jej końmi do Kumakowiec.

Ach prawda! o mało nie zapomniałem nadmienić o wiadomości, jaką na parę dni przed wyjazdem z domu otrzymałem od Mieczysława z Warszawy.

Donosił mi w liście, w którego wyrazach przebijał się nieuleczony smutek i zniechęcenie do życia, że ulegając nieustannemu naleganiu swej matki, oświadczył się o rękę panny Seweryny S., młodego dziew-

częcia, godnego (jak się wyraził) zaiste lepszego losu niż poślubienie człowieka, który jej nie kocha i którego ona kochać nigdy nie będzie. Panna prosiła o czas do namysłu i wyjechała do krewnych na Ukrainę, zkąd aż w lecie ma do Warszawy powrócić. „Mając dla niej wysoki szacunek, nie zataiłem jej moich uczuć i sam prosiłem, aby nie pozwoliła na oddanie mi swej ręki bez dojrzałego namysłu. Kto wie jednak jak się stanie: familia jej bowiem mocno na nią nalega, a młode dziewczę straciwszy w ostatniej wojnie narzeczonego, którego kochała — nie wierzy już, aby kogo innego w życiu pokochać jeszcze mogła. Może ulegnie życzeniu swej matki, jak ja mojej ulegam.“

Pod wrażeniem tego listu przyjechałem do Kumakowiec.

Przyjechałem przed obiadem. Z gości tego dnia wyjątkowo nie było nikogo, ale oboje gospodarstwo gościli mnie tak wspaniale i tak serdecznie, jakbym nie był nowelistą i ich dobrym tylko znajomym, ale najpierwszym potentatem w świecie i najbliższym ich krewnym.

Pan Waleryan był mi rad z całej duszy, a pani Margerita w najlepszym w życiu humorze.

Zarozumiałością nie do darowania byłoby z mej strony, gdybym chciał się podjąć zadania, któremuby nie sprostał żaden z najznakomitszych powieściopisarzy naszych, żaden z tych nawet, z pod których pędzla wychodzą najidealniejsze kobiet portrety. Nie myślę kreślić pani Krzuckiej takiej, jaką mi się przedstawiła w czasie mej bytności w Kumakowcach, powiem tylko, że bardziej czarującej kobiety, idealniejszej istoty nie widziałem w życiu ani w wyobraźni.

Przyznaję, że zostając pod jej czarem zapomniałam nawet o mej ku niej nienawiści i bawiłem się wybornie.

W ciągu wieczora, gdy pan Waleryan wyszedł

z salonu dla jakiejś narady z ekonomem, zmieniając nagle przedmiot rozmowy, zapytała mnie niespodzianie pani Krzucka:

— Czy wie pan o panu Mieczysławie?

— Że się żeni?

— Że się oświadczył o Sewerkę.

— Zkąd pani wiadomo?

— Pisała mi Sewerka. To szaleństwo!... Jak można się żenić, nie kochając i nie będąc kochanym!

— Czy pani jest tego zdania?

— Czy można być innego?

— Może Mieczysław kocha pannę Sewerynę..

— O nie! Sam jej wyraźnie powiedział...

— To ją może jeszcze pokocha kiedyś...

— Godna tego, to prawda — ale wątpię.

— Czemu pani wątpi?

— Bo zakochany w kim innym...

— W pani!—rzekłem, patrząc jej w oczy z ironicznym uśmiechem. Czemu to powiedziałem i czemu z ironicznym uśmiechem i czemu przytem spojrzałem badawczo w oczy pani Margericie — dalibóg nie wiem. Stało się to jakoś tak — ni z tego ni z owego—jak większa część rzeczy na świecie.

Pani Krzucka spiekła porządnego raka:

— Zkąd pan wie o tem?

— Mówił mi.

— Mówił panu!—zawołała, jakby oburzona tem powierzeniem tajemnicy w tak niegodne ręce.

Tu nastąpiły jeszcze żywsze rumieńce i śmiech. Śmiech był tym razem udany — i to niefortunnie. Śmiać się jej nie chciało.

— Bądź co bądź—rzekła po chwili, uspokoiwszy wzruszenie—we mnie, czy nie we mnie, to mniejsza, ale mi go serdecznie żal! to mój towarzysz dzieciństwa — od najpierwszych lat, prawie krewny... byliśmy z sobą jak rodzeństwo! Powinieneś pan wpłynąć na niego, aby tego szaleństwa nie robił! Dlaczegóż ma się samowolnie rzucać w przepaść? Siebie

uczyni nieszczęśliwym i ją — a to taka poczciwa dziewczyna!... Uczyń pan to!...

I podała mi rękę do przyjaznego uścisku.

Sam nie wiedziałem zrazu. co jej mam powiedzieć.

— A czy pani tego nie uważa za nieszczęście, aby się dał trawić beznadziejnemu uczuciu? Na niebezpieczne choroby potrzeba radykalnego lekarstwa.

— Toby nie było lekarstwem! — odparła z akcentem głębokiego przekonania. Lekarstwem najlepszem na takiego rodzaju choroby — czas. Czas dozwoli mu zapomnieć o młodocianych mrzonkach... on taki jeszcze młody!... zakocha się kiedyś w kim innym i będzie szczęśliwy.

— Jeśli jego los panią obchodzi, to może pani zechce przeczytać list do mnie pisany...

I wyjąłem z pugilaresu list Mieczysława, który miałem przy sobie. Na co to uczyniłem? prawdziwie nie wiem. Tak jakoś wypadło z rozmowy. Zdawało mi się, że nic złego nie robię, choć gdybym był skrupulatniej rzeczy rozważył, byłbym był może przyszedł do przekonania, że podanie tego listu pani Margericie miało nieledwie to znaczenie, jakbym przyjął rolę pośrednika do ponownej deklaracyi miłosnej. Pamiętałem o stanowczej odprawie — jaką dała Mieczysławowi w Wiedniu i nie bałem się złego wpływu tego listu; uznawałem zresztą najzupełniej słuszność jej uwag co do zamierzonego małżeństwa Mieczysława i widziałem w niej sprzymierzeńca w uratowaniu go od szalonego kroku.

Wyjęła list z koperty i utonęła w nim swemi oczyma: taki wyraz rozlał się teraz po jej twarzy, jakby nie oczyma, ale duszą całą utonęła w tym liście. Smutkiem powlokło się gładziutkie czoło; w niebieskich oczach, wesolutkich jak wiosna, zabłysnęły łzy.

Przeczytała do końca i zaczęła czytać raz drugi od początku... W połowie listu zatrzymała się i za-

dumała nad jakiemś słowem. Potem złożyła go i oddała mi powolnym ruchem ręki.

— Bardzo smutny list!—rzekła z wymuszoną obojętnością, ale głos jej drżał.

W tej chwili wrócił pan Waleryan, a tuż za nim służący prosił nas na wieczerzę.

Pani Margerita tego wieczoru była poważniejszą niż zwykle, jeśli się chwilami ożywiła w rozmowie, to znowu zapadała w zadumę.

Zauważył to pan Waleryan.

— Czy ciebie głowa nie boli, Margosiu?

— Zdaje mi się, że będę miała migrenę.

I pożegnała nas, udając się na spoczynek.

Wkrótce potem rozeszliśmy się także z panem Waleryanem, a ja usypiając w rozpamiętywaniu grzechów — nie moich, ale pięknej mojej gosposi, przyszedłem do konkluzyi:

— Jeżeli Mieczysław się nie ożeni, to prędzej, czy później zostanie Cezarem Drugim.

XI.

PRIMA APRILIS.

Nazajutrz zrana po śniadaniu zaproponował mi pan Waleryan zwiedzenie jego stajni i jazdę konną. Przystałem z ochotą.

Czas był prześliczny, słońce dogrzewało jakby w maju, a był to... ach, przypominam sobie: był to pierwszy dzień miesiąca kwietnia.

— Czy dobrze jeździsz konno, czy po łacinie?— zapytał mnie pan Waleryan.

— Dobrze... nie powiem, ale siedzę dość silnie

w siodle i grzywy się nie trzymam; niełatwo spadnę z konia.

— No, mój królu, spadłbyś ty, spadł; najlepszego jeźdźca niejeden koń zsadzi. Mam ja dwa konie, na którychbyś i dziedzińca nie objechał... głowę daję... głowę daję... Nie siądziesz na żadnego z nich, nie dam... o nie! Miałbyś Prima Aprilis... Ale z innych wybieraj sobie którego zechcesz. Ja bo pojadę na moim „Zegarku“, to koń mego chowu, półkrwi po „Emirze“, to mój faworyt. Wielka część stajni, którą ci pokażę, to spuścizna po moim bratanku... majątek mu się rozszedł na konie... ot! gdyby to był przynajmniej hodował araby, araby... ale te wyścigowce angielskie to dyabła warte... dyabła warte, radbym się wyzbyć tego.

To mówiąc, weszliśmy do stajni.

— Cóż to za koń, ten w klatce?

— Ho ho! to wielki pan, ogier, rodzony brat „Zegarka“, to „Farys“! Na tegobym cię nie wsadził, a raczej on sam wsiąśćby ci nie dał na siebie. Każę ci go kiedyś wyprowadzić, żebyś mu się przypatrzył, warto! warto!... ale dziś, jeśli chcesz, żebyśmy się przejechali, to niema na to czasu, przejdźmy tylko.

— A ta klacz kasztanowata? ależ to niepospolita miara!

— To „Handsome“... to ze stajni mojego bratanka. Kłus ma ogromny, ależ trzęsie! niech ją kaci!

— A ten jabłkowity: to zdaje się pieszczoch... jak on się za nami ogląda!... śliczna głowa!...

— Stary już! ale to był koń, ha ha! to był koń!... „Almanzor“... „Almanzor“...

— Ah. wiem!... to ten sam, co ci podobno życie uratował!..! Jak to było?

— Hej, hej—westchnął p. Waleryan—opowiem ci to kiedyś... Ale chodźmy dalej.

— A ten Anglik... czy on nie chory?

— Nie, to jego zwykły humor taki. „Banco“, chudy jak chart... Wygrał raz puhar honorowy

na wyścigach... ale kosztował mego bratanka grubo! grubo!... Dziś on już niewiele wart, to tylko cień tego konia jakim był.

— A więc to duch Banka! A ten gniady?

— Nazywa się „Frant“, ale łagodny jak dziecko. Tegobym ci radził dosiąść... Albo weź tego kasztanka; wybornie niesie, jakby płynął: „Harald“

— A ten bułany? śliczny koń!

— To mojej żony „Cezar“.

— „Cezar“? — zapytałem uderzony tem imieniem.

— Tak, Cezar... ładny koń, ale nie radziłbym ci na niego siadać; niby to sensat wielki, ale ma on niebezpieczne swoje narowy...

— To to jest „Cezar“! — wyśpiewałem z przeciągłą deklamacyą sam do siebie.

— Oho! ty coś wiesz?...—i pochwyciwszy mnie pan Waleryan za ramię, obrócił ku sobie i spojrzał mi w oczy. Czułem, że się mienię na twarzy.

— Ja? jakto?... nic nie wiem!—odrzekłem niby zdziwiony niezrozumiałem mi posądzeniem gospodarza.

Pan Waleryan uśmiechnął się znacząco i potrząsł głową z niedowierzaniem. Trudno było się dłużej zapierać, postanowiłem powiedzieć pół prawdy, aby nie dać poznać po sobie, że się całej domyślam.

— Coś słyszałem... w samej rzeczy... podobno jakiś wypadek?... nic nie wiem!... — bąknąłem zakłopotany.

— Wiesz! wiesz!... nie wypieraj się daremnie! już ja widzę z twej miny, że wiesz!!.. Ale powiedz że mi, zkąd u dyaska ty wiesz o tem?... To przecież szczególna rzecz, jak się te plotki rozchodzą!... Tak, tak, to ten sam!... Ale zlituj się, mój drogi, nic jej nie wspominaj, że wiesz o tem!...

— A broń Boże!... Ale jakże to było?... To przed samym waszym wyjazdem do Wiednia?

— A tak, no, musieliśmy pojechać... bo wiesz... mumpsa długo udawać trudno... trzy! trzy!... i to na przedzie! na przedzie!... Ale nie mówże o tem nikomu! bój się Boga!... Nie wyobrazisz sobie, jaka to była rozpacz! a jaki strach, żeby się ludzie nie dowiedzieli. Co to próżność u kobiet znaczy! to taka rozsądna kobieta jak mało, a jednakże ani jej utulić w płaczu nie było można, „Nie patrz się na mnie! nie całuj mnie! ty mnie już kochać nie możesz! wolałabym była umrzeć! jak się ludzie dowiedzą, umrę ze wstydu"! Chachacha... biedne dziecko!

I wybuchnęliśmy obaj głośnym śmiechem. Ten sam fakt dla nas obu był pobudką śmiechu, ale w gruncie rzeczy każdy z nas inną miał do śmiechu przyczynę.

— Dobrze ci się śmiać, ale ty nie masz pojęcia, w jakiej ona była rozpaczy. Ażem się bał o nią, już myślałem, że sobie mózg utrząsła przy tym upadku... Ba! dla nas mężczyzn to furda; ja już od piętnastu lat mam tylko pniaki, ale dla kobiety... aj! okropne nieszczęście... A mówiłem jej! przestrzegałem! Jakeśmy tylko wyjechali za bramę tego dnia, to już widziałem, że on zaczyna kaprysić... nie! nie chciała mnie słuchać!... no i baryera, halo hop! bachbuch! i stało się!.. Ona wybornie jeździ... ale to łotr, łotr ten „Cezar", jakich mało... on wszystkiemu winien! Dalipan, miałem ochotę w łeb mu palnąć... w łeb mu palnąć... Zarzekła się, że nigdy na konia nie siądzie... ba, ale cóż z tego! Szkoda, powiadam ci! powiadam ci, bo ślicznie jeździ, jak królowa, powiadam ci!... Nie chce i nie i nie... No! kobieta to tak zawsze... no, a cóż to pomoże teraz? nic!

Ale nic nie widać! Niktby nie poznał!

— Ba! ba! gdybyś wiedział, jacy ci Niemcy zręczni! tylko zlituj się, nie mów nikomu! nikomu!... Słowo?

— Ależ!.., Czy mnie masz za starą babę, panie Waleryanie, żebym plotki roznosił!

— No, któregoż konia kazać ci osiodłać! Byle nie „Cezara“, bobyś miał Prima-Aprilis...

— Już miałem...

— Jakto? czy Margosia zwiodła cię już dziś może przy śniadaniu?

— Nie, ja sam się zwiodłem.

— A to jak?

— Eh, to długa historya!

Osiodłano mi kasztanka i wyjechaliśmy za bramę w pole.

Nigdy jeszcze w życiu gorzej nie jechałem na koniu jak tego dnia. Nie koń mi był na myśli i cugle, nie ostrogi, ani droga, ale pani Margerita. Zatopiony w sobie, nie widziałem, gdzie jedziemy i dokąd i jak, nie słyszałem prawie, o czem do mnie mówił w ciągu spaceru p. Waleryan i odpowiadałem mu ni w pięć, ni w dziewięć. Pamiętam tylko, że przypisywał moje roztargnienie niezwykłości sytuacyi, w jakiej wedle jego mniemania czułem się jako literat na koniu.

Nie przypuszczał on zapewne, że powodem tego roztargnienia mego jest jego żona i wywołana przez nią gwałtowna rewolucya w moim mózgu, do chemicznego podobna procesu.

W chemii przybytek czasem najmniejszej drobinki obcego pierwiastku, w całym ustroju jakiegoś ciała najzupełniejszej dokona przemiany, tak, iż zmieni swój kształt, spójność, barwę, przejrzystość, zapach i wszystkie własności, w inny niż poprzednio porządek układając najdrobniejsze cząstki. Chociaż z tych samych złożone atomów, zgoła niepodobnem stanie się tem, czem było... Otóż równie radykalnej przemiany dokonał w ustroju moich przekonań, wyobrażeń, poglądów, spostrzeżeń i uczuć, co się tyczy pani Margerity, ten mały fakcik, ta drobna w stajni kumakowieckiej powzięta wiadomość, że owym tajemniczym „Cezarem“, za którym tak niefortunne czyniłem poszukiwania, że owym Cezarem, sprawcą „upadku“ pani Margerity, był jej koń!

Pani Margerita, tak myślałem teraz, dając koniowi ostrogę, to najniewinniejsza, najczystsza, najszlachetniejsza, najidealniejsza na kuli ziemskiej kobieta! Czołem, czołem przed nią, a jam ją tak niegodnie śmiał podejrzywać! I dlaczego? z jakiego powodu? dla jakiegoś urywku rozmowy jej z mężem, przypadkiem podsłuchanego!... dla kilku wyrazów niejasnych, niezrozumiałych, które powinienem był sobie w jakikolwiekbądź inny wytłómaczyć sposób, albo nie tłómaczyć sobie wcale, lecz nie zaślepiać się i nie posądzać istoty, której twarz tak cudownie piękna świadczy dostatecznie o jej niewinności, której postać anielska i głos i ta dziecięca swoboda umysłu i jej wesołość, i myśl każda, i słowo każde dowodnie świadczą, że jej cnota bez skazy, a serce jak kryształ przeczyste.

— Wiesz co, Waleryanie?—zawołałem, przerywając ni z tego, ni z owego jego opowiadanie o „Almanzorze", tyś najszczęśliwszy człowiek na ziemi!

Spojrzał na mnie błyszczącemi radośną jakąś dumą oczyma:

— Prawda! — zawołał, i dając koniowi ostrogi, przesadził przez płot, przed którymby się i niejeden młodzieniec zawahał.

Wracaliśmy już ku domowi. Spotkawszy kilku włościan kumakowieckich, wszczął z nimi p. Waleryan sąsiedzką pogawędkę; ja jechałem milczący, zadumany, smutny... Czemu smutny? sam nie wiem.

Potępiałem się w duszy surowo za tę wrodzoną skłonność do podejrzewania, za to nieuzasadnione niczem posądzenie żony przyjaciela. Wstyd mi było samego siebie. Pragnąłem uspokoić dotkliwy wyrzut sumienia jakąś zupełną zmianą w postępowaniu mem wobec pani Margerity, wobec której zachowałem stanowisko zimnego ugrzecznienia, a za której serdeczną gościnność odwdzięczałem się dotąd demonstracyjnym chłodem w wyrazach ze sztywnością postawy—tak jakbym drut połknął... Pragnąłem teraz jakimś nadzwyczajnym hołdem, jakąś wielką

przysługą okupić to dotychczasowe moje postępowanie; wyrazić jej mój najwyższy szacunek, moją cześć głęboką, moje uwielbienie, moją najszczerszą dla niej przyjaźń, sympatyę moją serdeczną, więcej niż to! stokroć więcej!... nie, nie... uniosłem się za daleko... nic więcej nad to. Nic więcej — ale tę moją dla niej przyjaźń, to pełne uwielbienia i serdecznej sympatyi uczucie, pragnąłem wyrazić jej bez ogródek, a wyrazić jak najgoręcej... jak najgoręcej...

Nie—nie—znowu zanadto się unoszę...

Nie dziw! to ideał, a nie kobieta!

Czułem, że gdyby nie moja przyjaźń dla p. Waleryana...

Ale co za szaleństwo!... jabym jej tego nigdy nie wyznał...

A jednak — czułem.... Czułem sam nie wiem co, i nie wiem jak nazwać, co czułem w sercu, ale czułem coś dziwnego — coś niezwykłego,

Jakoś świątecznie mi się zrobiło w duszy—wiosennie, słonecznie, a smutno zarazem. Wiedziałem dobrze, co to znaczy. Wiedziałem z doświadczenia...

— Trzeba uciekać z Kumakowiec, bo będzie z tobą źle, człowieku...

Taką radę dałem sobie samemu, przebierając się w gościnnym pokoju po powrocie z przejażdżki.

Wyjąłem z kuferka czystą parę butów... była to owa nieco obcisła para, która mi zwykła była przypominać pannę Katarzynę...

Tym razem nie pomyślałem o niej.

Wszedł służący i oddał mi jakiś pakiet:

— Przyjechał posłaniec konny z tym listem.

List był od mojej kuzynki. Wzywała mnie z polecenia chorej ciotki do bezzwłocznego powrotu, z powodu interesu niecierpiącego zwłoki, jaki cioci wypadł w czasie niebytności rządcy, któremu przed tygodniem dała pozwolenie wyjazdu do rodziny. Zaklinała mnie gorącemi słowy na moje do ciotki przywiązanie, abym nie tracąc chwili czasu, opuścił miłą dla mnie gościnę u pp. Krzuckich i wracał, aby

jej dopomódz w nadzwyczaj kłopotliwej sprawie, w której sama radzić sobie nie umie.

Z listu wypadła osobna kartka zwinięta we czworo. Rozwinąłem ją.

Stały na niej drobnem pismem nakreślone wyrazy:

Prima Aprilis.

i trzy podpisy trzech moich kuzyneczek: Frania, Lusia i Amelka.

— To najlepsza sposobność! — pomyślałem — trzeba z niej korzystać!... trzeba ztąd uciec, póki czas!...

Podarłem kartkę, a przebrawszy się po podróżnemu, poszedłem do pp. Krzuckich, którzy na mnie czekali z drugiem śniadaniem. Pokazałem im list, prosząc o konie do wyjazdu...

Poczytali to zrazu za żart, lecz gdym im zaręczył, że postanowiłem odjechać bez zwłoki, czując tego konieczność, zasmucili się oboje tak, jakbym najmilszym był dla nich gościem...

Pokusa pozostania była niemała. Nie uległem. Dręczyła mnie tylko ta myśl, że poprzedniem chłodnem mem obejściem zraziłem może jej do mnie życzliwość, przeżartowałem jej przyjaźń i szacunek. Zostawić w jej pamięci przyjazne o mnie wspomnienie — tego już tylko pragnąłem, a pragnąłem gorąco — jakby szczęścia...

Po śniadaniu wyszedł p. Waleryan, aby wydać stosowne do mego wyjazdu rozporządzenia.

— Przyjedź pan na imieniny mego męża — rzekła pani Krzucka.

— Czternastego? Jeżeli będę mógł, nie omieszkam służyć łaskawemu państwu.

— Czy pewnie?

— Niech pani nie wątpi. Kto tu raz jeden był u was, nie potrzeba go już zachęcać, aby pragnął jaknajrychlej powrócić.

To mówiąc, ucałowałem podaną mi rączkę.

Było to pierwsze dopiero ucałowanie jej ręki z mojej strony. Nie uszła jej uwagi zmiana w mem zachowaniu, spojrzała na mnie z widocznem zadowoleniem i uścisnęła moją rękę w swej dłoni po przyjacielsku, jak to zwykle mężczyźni tylko czynią...

Czułem, że krew mi uderzyła do twarzy.

— Pisałam dziś do Sewerki—rzekła po chwili.— Napisz pan do Mieczysława! Staraj go się pan wszelkiemi sposobami odwieść od takiego szaleństwa... toby było prawdziwe nieszczęście!...

Głos jej drżał, gdy to mówiła... Przelotny rumieniec zjawił się na licu, jak odblask zorzy na śnieżnym obłoku i znikł...

— Wątpię — odrzekłem — aby mój list przydał się na co. On taki uparty w swych postanowieniach... i taki szalony...

— Napisz pan!—powtórzyła nieledwie błagającym tonem, jakby przez łzy.

— Uczynię to pani, jutro napiszę. Gdybym Mieczka nawet nie kochał tyle, ile go kocham — to napisałbym już dlatego, że pani każe...

— Ja tylko proszę...

— Każde życzenie pani jest dla mnie rozkazem! — zawołałem z zapałem. — Szczęśliwy Mieczysław, że umiał zasłużyć sobie na tyle życzliwości ze strony pani...

Pani Krzucka spojrzała na mnie zdziwionym wzrokiem, chmurka jakaś napłynęła na jej gładkie czoło.

— Wiesz pan przecież — rzekła, dobitnie wymawiając każdy wyraz — że to towarzysz moich lat dziecinnych... a że p. Elski jest przyjacielem pańskim, sądzę więc, że i bez mego „rozkazu“ jak się pan wyraziłeś...

— Tak, pani!... ale gdyby nawet przyjacielem mym nie był, gdyby był mi wrogiem — uczyniłbym zadość woli pani... bo nie wiem... nie wiem, czy miałem kiedy w życiu dla jakiej kobiety tyle czci, tyle szacunku, tyle... jak dla pani... tyle... tyle wdzię-

czności... za to szczęście, którem pani darzysz Waleryana!

Rozpogodziło się jej czoło, podała mi znowu swoją rękę: radość błyszczała w jej ślicznych oczętach.

— O, jabym pragnęła, aby był szczęśliwym! Czyż on nie wart szczęścia! Całe życie tak zacne! tak czyste! spędzone w usługach obywatelskich!...

— Jest jednak szczęście, które wyjątkowo tylko dostało mu się w udziale... bo niem panie zwykłyście tylko młodych darzyć...

— Miłość? — zapytała żywo z lekkim rumieńcem.—Czyż on nie młody?... Popatrz pan tylko na niego: czy to nie żywy portret szlachcica, gdzieś z czasów wyprawy wiedeńskiej... Jak takiego nie kochać?... Wy panowie nie wiecie, co się nam kobietom w mężczyźnie podoba!... Ja jego nietylko kocham — ale ja kocham się w moim do niego przywiązaniu, bo czuję się dumną, żem jego przeniosła nad innych!... Ja wiem, że dziwiono się w Warszawie, jakem się mogła zakochać w jego siwych włosach... Kochać się, to uczucie egoistyczne, które wy tylko znacie. My kobiety nie umiemy kochać się — kochać...

— Daruj pani, ale nie mógłbym tego zdania podzielać... W tem nawet, co pani powiedziałaś, zdaje mi się, że sprzeczność...

— Dajmy temu pokój! To zresztą może zbyt subtelne różnice!... Czyż ten nie kocha prawdziwie, kogo to szczęśliwym czyni, że kocha... i że jest kochanym?

Wszedł p. Waleryan.

Ucałowałem z uwielbieniem rękę pani Margerity i pożegnałem. Raz jeszcze dłoń moją uścisnęła jak staremu znajomemu.

Przed gankiem stały już zaprzężone konie.

Waleryan objął mnie w ramiona i uściskał, jak brata:

— Bądź zdrów! A przyjedź rychło do nas i na dłużej!

Przyrzekłem. Nie przeczuwałem, że odwlekając przez kilka miesięcy dotrzymanie tego przyrzeczenia—nie obaczę się już nigdy z poczciwym p. Waleryanem.

W czerwcu — była to właśnie trzecia rocznica jego zaślubin z panią Margeritą — nagły atak apopleksyi zakończył ten żywot zacny i pełen poświęceń dla współobywateli.

Dziwnym trafem, tego samego dnia odbył się w Krakowie w kościele N. Maryi Panny ślub panny Katarzyny C. z jej stryjecznym bratem... ach, ale to do rzeczy nie należy! Przepraszam!...

XII.

KONIEC NIE KONIEC.

Mimo najszczerszej chęci nie mogłem przyjechać na pogrzeb przyjaciela. Wiem tylko, że się odbył ze współudziałem całej okolicy, szlachty i włościan. Bogaci i biedni opłakiwali w nim najzacniejszego obywatela, najlepszego sąsiada i prawdziwego dobroczyńcę.

Żal pani Krzuckiej był cichy, serdeczny, głęboki. Od dnia, w którym przywdziała wdowią szatę, nie widziano już śmiechu na jej twarzy. Spokojna, poważna i pełna godności w każdym kroku, w każdem słowie. Pustota ta dziecięca i swywolna wesołość znikły, jak zaczarowane ponurem światłem gromnicy. Czy znikły raz na zawsze? czy pani Margerita nakazała im tylko milczenie do czasu przez cześć dla zmarłego? Któż dziś odgadnie?

Małżeństwo Mieczysława z panną Seweryną dotąd do skutku nie przyszło: związek odwleczony, ale nie zerwany stanowczo. Czy listy nasze wpływ jaki wywarły? nie wiem. Wiem tylko, że dzień ślubu dotąd oznaczony nie został.

Pisałem do Mieczysława powtórnie w kilka dni po śmierci pana Waleryana. Doniosłem mu w tym liście i o Cezarze i o mumpsie i o ostatniej mojej rozmowie z panią Margeritą. Wiarnie powtórzyłem wszystko, co o nim mówiła... i jak mówiła.

Obowiązek przyjaźni był mi świętym. Nie powiem, aby był zawsze miłym i łatwym do spełnienia...

Odpowiedzi na list ten czekam niecierpliwie, gorączkowo.

Przewiduję dobrze, jaką będzie ta odpowiedź!...

Gdyby jednak nie odpisał wcale? gdyby się ożenił z p. Seweryną?... W takim razie... kto wie?... kto wie?...

Szkoda tylko, że te trzy... ale szał to tajemnica pani Krzuckiej!...

ODZYSKANA.

NIEPRAWDOPODOBNA NOWELA.

I

Dawny znajomy.

Wychodziłem właśnie z domu, wciągając na siebie zimowy paltot, gdy mnie spotkał ten zaszczyt..

Wtoczyła się, a raczej wtłoczyła się przez wązkie drzwi mego pokoju wysoka postać o wspaniałej tuszy, w olbrzymich niedźwiedziach i czapce bobrowej. W tej chwili jednak, gdyśmy stanęli sobie oko w oko, zsunęła się z małej łysej główki, ściągnięta szybkim ruchem, bobrowa czapka, strząśnięte z ramion niedźwiedzie futro spadło na ziemię, a przedemną stanął w czarnym fraku i czarnych pantalonach, w białej kamizelce i białej krawatce, w paliowych rękawiczkach, w czołobitnej, pełnej uszanowania postawie...

Nie poznałem go i nie umiałem sobie tych odwiedzin wytłómaczyć o porannej godzinie i w tak uroczystym stroju.

A okrągła, mała, rumiana twarzyczka, osadzona na grubej szyi i beczkowatym tułowiu, uśmiechała się do mnie słodziutko, obleśnie spoglądając mi w oczy:

— Pan dobrodziej mnie nie poznaje?—zapytał pieszczotliwym głosem.

Byłem wielce zawstydzony i zakłopotany. Nie poznawałem.

— Pan dobrodziej mnie sobie nie przypomina?

Zakłopotanie moje rosło z każdą sekundą. Nie mogłem sobie przypomnieć, abym kiedykolwiek w życiu spotkał się już z moim gościem.

— Słyszakiewicz jestem!—wyjawił wreszcie gość mój tajemnicę, która mnie tak dręczyła, a wyjawił ją takim tonem i głosem, jakby był pewny, że, usłyszawszy jego nazwisko, rzucę mu się w objęcia.

Rzuciłem mu się tedy w objęcia. Ale, jak sobie szczęścia życzę, nie mogłem sobie przypomnieć. aby mi kiedy słodki dźwięk tego nazwiska obił się o uszy.

— Ah, pan dobrodziej! pan dobrodziej! — zawołałem — nie poznałem, dalipan nie poznałem!... Cóż pana dobrodzieja tu sprowadza?... Proszę siadać!—i odprowadziłem go do kanapki.

Zrzuciłem co prędzej paltot, w który byłem ubrany i, zawiesiwszy go na wieszadle, zabrałem się do podjęcia z ziemi ciężkich niedźwiedzi, które mój gość tam porzucił.

P. Słyszakiewicz, spostrzegłszy, iż się trudzę jego futrem, zerwał się z kanapy i z lekkością baletnicy przyskoczył, aby mnie wyręczyć.

— Ależ niech się pan dobrodziej nie trudzi!

— Ależ niech się pan dobrodziej nie trudzi! | ceremoniowaliśmy nawzajem, wyrywając sobie z rąk niedźwiedzie, aby je na haku powiesić.

W ciągu tego ceremoniału przypatrzyłem się lepiej memu wystrojonemu jak na bal gościowi. Ten baryłkowaty brzuszek, ta mała główka, osadzona na dużym korpusie, a szczególnie ta pieszczotliwa jego wymowa, zaczęły budzić w mej duszy odległe jakieś wspomnienia. Gdzieś go już widziałem, gdzieś się z nim już spotkałem na tym padole—ale gdzie i kiedy? utnij głowę, nie przypomnę.

— Może cygarkiem mogę służyć? może papie-

rosikiem? — z uprzedzającą grzecznością zapytałem, przysuwając doń pudełka.

— Nie, nie, dziękuję — odmówił skromnie pan Słyszakiewicz.—Ja tu przedewszystkiem do pana dobrodzieja... najprzód z atencyą, a następnie z prośbą, z wielką prośbą!

To mówiąc, zerwał się z kanapy i stanął znów przedemną w pełnej uszanowania postawie, bobrowa czapka w ręku, cienkie nóżki zsumęte razem, kolumna pacierzowa przechylona naprzód.

— Ależ, panie dobrodzieju! siadaj-no pan, siadaj! połóż na bok tę śliczną, bobrową czapkę, zdejm rękawiczki, zapal cygarko... a potem dopiero powiesz, co mi sprowadza zaszczyt...

P. Słyszakiewicz przyjmował te grzeczności z widocznem zadowoleniem, ale nie ośmielał się zbytecznie. A ja pragnąłem, zanim prośbę usłyszę, dowiedzieć się, kim jest proszący. Ani rusz.

Czego u dyaska — pomyślałem — może odemnie chcieć ta figura? Pyszne futro niedźwiedzie, wspaniała czapka bobrowa, złoty łańcuch, jak kawał powrozu, u zegarka... juźci pieniędzy nie chcą. A więc pewnie głosu, lub poparcia przy jakich wyborach, kandyduje do sejmu, do rady państwa, chce zostać marszałkiem powiatowym, lub stara się o posadę dyrektora w której z krajowych instytucyj finansowych, rozdających synekury...

— Kopę lat — zawołałem — kopę lat, jak nie miałem szczęścia oglądać pana dobrodzieja!

I zręcznym zwrotem dyplomatycznym zapytałem.

— Kiedyż my się to ostatni raz widzieli!

— Ha, *nio*, będzie już z pięć lat...

— Ale gdzieśmy się widzieli wtedy?—indagowałem dalej.

Pan Słyszakiewicz spojrzał na mnie wzrokiem, wyrażającym najwyższe zdziwienie.

— A *nio*, gdzie? *taże* u mnie na wsi!

— Co? u pana? na wsi? — wykrzyknąłem, niepewny, czy ze mnie p. Słyszakiewicz żartuje, czy mnie się śni ta cała wizyta. Od lat wielu nie wyjeżdżam prawie z Krakowa, a jako żywo, nigdy u tego człowieka na wsi nie byłem.

Obaj patrzyliśmy na siebie z równem zdziwieniem. Milczeliśmy obaj, patrząc na siebie i hypnotyzując się nawzajem wzrokiem. Trwało to sporą chwilę. Zarówno jednemu, jak drugiemu trudno było zdobyć się na radykalne przecięcie zagadkowego węzła, który coraz bardziej się zacieśniał.

Ten człowiek omylił się widocznie i ma mnie za kogo innego. Tak myślałem.

Ale inaczej myślał p. Słyszakiewicz. Pokiwał żałośnie głową i rzekł zawstydzony:

— *Nio*, to widocznie pan dobrodziej mnie sobie nie przypomina... to pan dobrodziej właściwie nie wie nawet, kto ja jestem... to pan dobrodziej nie pamięta o małej przysłudze, którą miałem to szczęście niegdyś mu oddać, a wzamian za którą obecnie chciałem się ośmielić...

Osłupiałem. Ja? od p. Słyszakiewicza doznałem jakiejś przysługi? Kiedy? jak? gdzie?

Ale p. Słyszakiewicz mówił dalej:

— A jednakże! pamiętne mi dobrze słowa pana dobrodzieja, wyrzeczone na odjezdnem: „Kiedy ja się panu za to odwdzięczę?“ Otóż chciałem dzisiaj...

Nie — pomyślałem — p. Słyszakiewicz widocznie się myli, ma mnie za kogo innego. Czas już położyć koniec temu *qui pro quo*. Zebrałem się na odwagę i zapytałem mego gościa obcesowo:

— Łaskawy panie! za kogo mnie pan ma? jak ja się nazywam?

Bez zająknienia wymówił moje nazwisko.

Dobił mnie. Teraz nie miałem już nic do stracenia.

— Ha — rzekłem — niema rady! Przepraszam pana dobrodzieja stokrotnie, przepraszam jaknajmo-

cniej, ale utnij mi pan głowę, nic a nic nie pamiętam?

— Widzę to, widzę, panie dobrodzieju. Otóż to tak było: Jechał pan dobrodziej z p. Mieczysławem Zielskim na ślub swojej siostrzenicy do Wyżankowic.

— Ach! już wiem wszystko?—zawołałem, chwytając się oburącz za głowę.

— I na gościńcu, tuż przed moim dworkiem w Korlówce...

— Spadło mi koło z osi...

— A śpieszyło się panu, bo miałeś pan dobrodziej jeszcze trzy opętane mile... a pora była spóźniona...

— A pan dobrodziej zaprosiłeś nieznajomych do swego domu, dałeś im przekąskę...

— Marynatę z węgorza.

— I kieliszek wódki...

— Dereniówki.

— A tymczasem zaprzężono do pańskiej bryczki...

— Amerykanki... Nie trwało to dziesięciu minut.

— A ja, dzięki pańskiej uprzejmości, zajechałem na czas do Wyżankowic, na czem mi bardzo wiele zależało. Właśnie orszak ślubny wchodził do kościoła.

— A żegnając się ze mną, siedząc już na bryczce, kiedy konie ruszały, zawołałeś pan dobrodziej...

— „Czemże ja się panu za to odwdzięczę". I niewdzięczny zapomniałem o tem całem zdarzeniu i nie poznałem pana dobrodzieja! Wstyd mi prawdziwie i przepraszam, najgoręcej przepraszam!

— Ale teraz pan dobrodziej już sobie wszystko dobrze przypomina?

— Widzę wszystko jak na dłoni, tak jakby to było wczoraj.

— *Nio*, otóż... przystępując do rzeczy, jak to mówią: ręka rękę wspiera, noga nogę myje... Nie. Ręka nogę myje...

— Ręka rękę myje, noga nogę wspiera...

— Tak, tak. Otóż, panie dobrodzieju...

Pan Słyszakiewicz zerwał się znowu z siedzenia i stając w pozycyi pełnej uszanowania, cienkie nóżki podtrzymujące potężny korpus zsunął razem, ugiął kolumny pacierzowej, a okrągłą rumianą twarzyczkę umilił najsłodszym uśmiechem.

— Ależ niech pan dobrodziej siada!

— Nie, nie. Tak się należy. Ja przychodzę do pana dobrodzieja z wielką prośbą.

— Czemże mogę służyć?—Zdawało mi się w tej chwili, że czuję w żołądku marynatę z węgorza, zjedzoną przed pięciu laty w Korłówce u p. Słyszakiewicza.

— Bo to tak... Krótko mówiąc, panie dobrodzieju... człowiek ma lat niby czterdzieści. *Nio*, krótko mówiąc, człowiek przez całe życie napracował się dość. *Nio*, krótko mówiąc, rezultat nienajgorszy, krótko mówiąc, mająteczek ładny...

— A teraz, krótko mówiąc—zakończyłem zniecierpliwiony—chciałby pan dobrodziej zdobyć jakieś stanowisko obywatelskie przy wyborach?

— Eee, to tam chyba nie. Marna sława, duży koszt. Krótko mówiąc... hm? jakby to powiedzieć?

— Prosto z mostu, panie dobrodzieju, prosto z mostu!

— Otóż, krótko mówiąc, chciałby człek zaznać domowego szczęścia... bo to panie dobrodzieju, choć moja gospodyni, Pyzdrakowska, dobra kobieta i zawołana kucharka i do mnie przywiązana... to przecież nie to. Chciałby się człek ożenić!

— Aha, winszuję.

— Z panną godną, dobrej familii.

— Posażną...

— Nie, panie dobrodzieju. To już tam mniejsza o posag. Gdzie duży posag, tam duże *fanaberye* i wydatki. Mnie tam stać na żonę bez posagu. Byle dobra, ładna, dobrej familii, byle mnie się podobała. I taką już znalazłem... w sąsiedztwie.

— Winszuję tembardziej... Więc żenisz się pan?

— *Nio*, tak tedy tak, krótko mówiąc: żenię się.

— I zapewne życzysz sobie pan dobrodziej, abym był obecny na jego ślubie?—zapytałem, przystępując do rzeczy i pragnąc nareszcie dowiedzieć się jasno o celu niespodziewanych odwiedzin, któremi mnie zaszczycił właściciel Korłówki.

— Tak, panie dobrodzieju. O to przyszedłem prosić: o ten zaszczyt i jeszcze o coś więcej...

— Czemże służyć mogę?

— Hm... bo to tak, widzi pan dobrodziej... Jesteśmy już, jak to mówią: „po słowie“ i niby prawie jak narzeczeni, choć jeszcze zaręczyn nie było... Otóż ciotka mojej narzeczonej i opiekunka... bo moja narzeczona jest sierota, sierota prawie bez majątku, ale wielkiej familii.

— Jak godne jej nazwisko?

— Potocka.

— Potocka? hrabianka?

— Nie, nie z hrabiów, ale zawsze Potocka.

— Potockich jest tylu!

— No, co Potocka, to zawsze Potocka. Matka jej była Zielska z domu, siostra pani Raczkowskiej, jej opiekunki.

— Zielska? — zawołałem zdziwiony. — Całą rodzinę Zielskich znałem wybornie.

A p. Słyszakiewicz mówił dalej:

— Zielscy także śliczna rodzina, mieli ogromny majątek, dwa klucze! A nieboszczyk pan Raczkowski był marszałkiem! A ojciec pana Raczkowskiego...

— Wierzę, panie dobrodzieju, wierzę.

— A babka mojej narzeczonej była księżniczką Radziwiłłówną z domu!

— Winszuję, winszuję najmocniej. Ale chciej mi pan łaskawie powiedzieć, jakiej odemnie żądasz usługi.

— Otóż to rzecz delikatna; pani Raczkowska przyjechała z panną Sabiną do Krakowa, do bratowej, do pani Zielskiej i chce, aby zaręczyny tu się

odbyły uroczyście, z wielką paradą i tu wyprawę każe robić i tu ma być ślub. Ja odradzałem, bo po co to? koszt niepotrzebny i ambaras... ale trudno, pani Raczkowska uparła się, że nie chce siostrzenicy wydawać za mąż po cichu, panny tak wielkiego rodu, że jej się to należy... *Nio*, widzi pan dobrodziej, i ja uległem. Trudna rada, jak człek zakochany... chociaż właściwie nie ja, ale pani Raczkowska powinna była zastosować się do mego życzenia, widzi pan, bo niby ja kupuję od niej Korłowską Wolę,..

— Aha!

— A majątek zniszczony, a hypoteka *zagwazdana*... a licytacya tuż, tuż,.. a ja daję taką cenę, żeby i Bismarck na tem stracił... ale że to przylegą do mego majątku...

— Aha!

— Otóż widzi pan dobrodziej, więc ponieważ już niby kontrakt spisany i dałem zadatek, a zaległe raty w bankach popłaciłem, więc niby resztę oznaczonej ceny kupna mam wziąć w posagu i majątek objąć w administracyę, a pani Raczkowska będzie mieć tylko na nim dożywocie. *Nio*, tak. Ale radbym, żeby już raz się ten interes skończył i żeby już było po ślubie.

— Kiedyż ślub?

— *Nio*, niby to dnia 5 stycznia, w dzień św. Emila, bo to mój patron... ale jeszcze przedtem mają być te zaręczyny i ja we wszystkiem pani Raczkowskiej ulegam, aby nie było zwłoki... a tu pani Raczkowska rozmaite ma jeszcze żądania i ceregiele...

— I panna także?

— Broń panie Boże! panna skromniutka, nieprzyuczona do zbytków... Kury, gęsi, gołębie, prosięta, książeczki i kwiateczki, to cała jej radość. I sierotkami na wsi się opiekuje.

— A zakochana? — zapytałem, nie bez ironii patrząc na beczułkowatą figurę p. Emila. Żywo sta-

nęła mi w pamięci urocza postać panny Sabiny. Nie mogłem sobie wytłómaczyć, co ją skłania oddać rękę p. Emilowi. — Zakochana? — spytałem jeszcze.

— Pochlebiam sobie — odrzekł słodko p. Emil, uśmiechając się rozkosznie.—Ale skromna taka, skromna a płochliwa, jak sarenka, że ani słowa z niej wydobyć. Boczy się niby to, ale ja wiem, co sobie myśli, oho wiem! Myśli sobie: panią będę, panią będę... bo to mężczyzna, proszę pana dobrodzieja, to dla panny czekającej na kupca jest tak, jak mesyasz dla żydów. Aj, aj, to sobie panna Sabcia, siedząc w swoim pokoiku przy robótce, myśli tylko: jaki on jest zblizka? jak on mnie pierwszy raz pocałuje? jak on mnie będzie pieścił? jaki on mi prezent ślubny da? a jak ja do niego będę mówiła: Emilku, czy Milusiu, czy Miluniu?... A teraz udaje, że jej to ani w głowie.

— A jakież wymagania ma jej ciotka?

— Pani Raczkowska tak powiada: Bierzesz pan pannę z wielkiego domu, z wielkiej familii, to niechże ludzie widzą, że nie idzie z musu, od biedy za lada kogo, nie oglądając się na jego koligacye i stosunki, dlatego tylko, że ma majątek. Pytała mi się, gdzie moja rodzina, żebym ja jej pokazał moją rodzinę. Mój miły Boże, jak ja jej pokażę moją rodzinę, kiedy ja byłem jedynak u moich rodziców, a moi rodzice już dawno pomarli, kiedy jeszcze byłem małem dzieckiem, a dalszej rodziny także nie miałem. Pytała mnie się jakiego ja herbu? A czy ja wiem! ja się o to nikogo nigdy nie pytałem, a że jestem szlachcic, to przecie każdy chłop w Korlówce zaświadczy i w tabuli jestem zapisany jako właściciel. A ona mnie powiada: to pokaż nam pan przynajmniej swoich znajomych i przyjaciół, chcemy wiedzieć, jakie pan masz między ludźmi stosunki i zachowanie. Proszę pana dobrodzieja, zkądże ja jej wezmę tych przyjaciół i znajomych, kiedy ja ich nie mam. Od ośmiu lat, jak kupiłem Korlówkę, haruję i haruję, nigdzie w sąsiedztwie nie byłem, bo na

wizyty czasu niema przy gospodarce..., *nio*, a wprzódy harowałem na Podolu na dzierżawach i także czasu nie miałem... Powiada mi pani Raczkowska: panie Słyszakiewicz, kto pana zna? Znają mnie kupcy na zboże i na bydło: Hersz Rosenfuss, Mendel Sniatynier, Juda Feuerbaum i wiedzą, że jestem *solidny* szlachcic. Zna mnie mój arendarz Jankiel Kajmeles, zna mnie mój ekonom Balczyk, mój leśniczy Fujarka, młynarz, karbowy, cała moja służba i wszyscy chłopi we wsi... a w mieście zna mnie kupiec korzenny Kleinberger, adwokat Bierfleisch, doktór Wykotil, aptekarz Sitko, krawiec Buziakowski... *nio* i już chyba koniec na tem. Tylko w urzędzie podatkowym zna mnie jeszcze kasyer pan Parpiłowicz. Z proboszczem jestem na bakier, więc nie mogę powiedzieć, abym go znał.

Odetchnął p. Słyszakiewicz po tej długiej ekspozycyi. I ja odetchnąłem. Podałem mu świeże cygaro. Zapalił i pocałowawszy mnie w oba ramiona, tak mówił dalej.

— Otóż, laskawy panie dobrodzieju, pani Raczkowska wszystkie wymienione przezemnie stosunki nie uważa za żadną znajomość. A więc zrobiwszy dokładny przegląd mojego życia, niby generalną spowiedź przed samym sobą, doszedłem do przekonania, że mam tylko dwóch dobrych i serdecznych znajomych pośród obywatelstwa, to jest czcigodnego pana dobrodzieja i pana Mieczysława Zielskiego, którzy obaj raczyliście mnie odwiedzić owego pamiętnego dla mnie dnia w Korłówce, *nio*, otóż p. Zielskiego, jako krewnego panny, nie mogę przedstawić jako mojego znajomego, który o mnie mógłby coś poświadczyć, ale znajomością tak dawną, bo już pięcioletnią, z panem dobrodziejem, istotnie pochlubić się mogę. Pyzdrakowska, moja gospodyni, powiedziała mi, że pan dobrodziej będziesz moją kotwicą i do pana dobrodzieja w tym tedy interesie...

Tu p. Słyszakiewicz zerwał się znowu z siedze-

nia i stanął w poprzednio już opisanej, pełnej atencyi postawie, kończąc zaczęty frazes temi słowy:

— Do pana dobrodzieja w tym interesie najpokorniej i najuniżeniej udać ośmielam się, prosząc o łaskawą protekcyę i poświadczenie długoletnich przyjaznych stosunków, które mnie z nim łączą.

— A więc pan chce poprostu, abym był z panem u państwa Zielskich i u pani Raczkowskiej?

Pan Emil potwierdził pochyleniem głowy.

— I abym poświadczył, że znamy się od lat pięciu?

Pan Emil skłonił się jeszcze niżej.

— Dobrze, panie łaskawy. Zrobiłeś mi pan grzeczność, więc winienem mu się odwdzięczyć. Ale zastrzegam sobie, że zapytany, jakie mnie z panem łączą przyjazne stosunki, opowiem, na czem one polegają.

Słyszakiewicz pocałował mnie w oba ramiona:

— Możeby się bez tego opowiadania obeszło? Co panu dobrodziejowi szkodzi powiedzieć tylko tyle, że mnie pan dobrodziej znasz od lat pięciu, że byłeś u mnie na wsi na śniadaniu... *nio*... że...

Pan Słyszakiewicz zająknął się i urwał.

— Że co?—zapytałem.

— Panie dobrodzieju! łaskawco mój! nie możnaby coś napomknąć o jakiejś koligacyi?

— O jakiej? z kim?

— *Nio*. Z panem dobrodziejem—wyjąkał pan Emil ledwie dosłyszalnym głosem, magnetyzując mnie błagalnem spojrzeniem.

— Ja z panem w koligacyi? — wybuchnąłem śmiechem.

— Może w jakiej dalekiej—podsunął mi p. Słyszakiewicz nieśmiało.—Któż to może wiedzieć?

— Chyba od Adama i Ewy!

— Choćby — bąknął pan Słyszakiewicz z rezygnacyą.

— Aa, tego kuzynostwa się nie zapieram.

— Najdroższy panie dobrodzieju!—zawołał pan

Emil z wdzięcznością i ucałował mnie w oba ramiona.

Nie wiedziałem, czy się śmiać, czy gniewać, czy wzruszyć ramionami.

— Jeszcze jedno, najlaskawszy mój dobrodzieju! — rzekł pan Emil, składając błagalnie ręce, obleczone w paliowe rękawiczki — jeszcze jedna prośba!... Pan dobrodziej masz tyle stosunków, tyle znajomości: czy nie mógłbyś ułatwić mi poznania się z kilkoma jakimi zacnymi obywatelami... bo jabym chciał się poznać i zaprzyjaźnić, choć na kilka dni.

— Tak, naprędce?

— Naprędce — powtórzył pan Słyszakiewicz. — Chciałbym nimi zaimponować pani Raczkowskiej.

Śmiałem się na całe gardło.

— Dobrze panie, dobrze, jeśli panu tylko o takich przyjaciół chodzi. Zaprowadzę pana dziś wieczór do kasyna... Grasz pan w wista?... nie? To może w taroka?... preferansa?... ferbla?... halbecwelbe?... I to nie? A, to pan należysz do wyjątkowych ludzi!

Pan Emil smutnie zwiesił na piersi małą główkę.

— No — rzekłem — to przyjdź pan wieczorem do Hawełki. Tam pana zapoznam z ludźmi. Znajdziesz pan tam starych znajomych, przyjaciół... może nawet krewnych. Ale zapłacisz im za kolacyjkę!

— Zapłacę chętnie.

— Z szampanem?

— *Nio* choćby i z szampanem.

II.

U Hawełki.

Pannę Sabinę Potocką poznałem u jej ciotki pani Zielskiej i pojąć nie mogłem, jak może sympa-

tyczne, ładne, młode dziewczę wychodzić za Słyszakiewicza?

Serdecznie. było mi żal dziewczęcia, którego spojrzenie miało tyle smutku, uśmiech tyle melancholijnej dobroci.

Zato ciotka Raczkowska obejściem, ruchami i tą pospolitą, a dla mnie wstrętną praktycznością była uosobieniem Herod-baby.

Z opowiadania Słyszakiewicza o kupnie przez niego Korłowskiej Woli z warunkiem, dotyczącym dożywocia, zaczynałem podejrzewać nizką praktyczność Raczkowskiej o sprzedanie dziewczęcia za dożywocie Słyszakiewiczowi.

Cóż to za Zielscy? — milczę. Dlaczego?... zagadka...

Zagniewany na Zielskich, postanowiłem pokrzyżować szyki babie przez ośmieszenie jej protegowanego i jej samej.

Wieczorem, o godzinie siódmej, przed handlem Hawelki przechadzał się w bobrowej czapce i wspaniałych niedźwiedziach pan Emil Słyszakiewicz, wystając przed Sławkowską, zkąd miałem przyjechać.

Gdy mnie zobaczył, pośpieszył do karetki, otworzył drzwiczki, ujął mnie za rękę i uścisnął gorąco.

— *Nio*, a gdzie przyjaciele, panie dobrodzieju?

— Czekają—rzekłem—chodź pan za mną.

Przebiegliśmy szybko wspaniale urządzony sklep. Goniły nas wyrazy: padam do nóg... do usług... do usług.

Przecisnąwszy się przez alkierzyk, wypełniony wojskowymi, wpadliśmy do wielkiej sali, natłoczonej ludźmi, siedzącymi nad kuflami piwa, w błękitnawej atmosferze dymu i ciężkiej parze piwnej.

Słyszakiewicz stanął. Tłum mu zaimponował i przestraszył go. Pewny był, że wszyscy ci ludzie są to przyszli jego przyjaciele i krewni, którym musi kupić kolacyę z szampanem. Miał minę, jakby chciał drapnąć do Korłówki.

— Chodź pan — zbudziłem go.

Troszkę nieprzytomny szedł dalej, dźwigając niedźwiedzie.

Otworzyłem jeden z bocznych gabinetów i obliczywszy, że może pomieścić sześć osób, wprowadziłem do niego Słyszakiewicza.

— Rozgość się pan i zaczekaj, zanim powrócę z przyjaciółmi, a może krewnymi.

— Ilu?—spytał bojaźliwie.

— Pięciu—odpowiedziałem.

Odetchnął, uśmiechnął się i słodko rzekł:

— *Nio*, proszę.

Stanąłem przy wejściu do sali, rekognoskując w atmosferze dymu za potrzebnemi mi figurami.

Pierwszego spostrzegłem porucznika Rybałczyka z miną marsowatą a szatańskim uśmiechem, jak na żołnierza przystoi. Pił piwo i głośno o swych czynach bohaterskich opowiadał. Skinąłem na niego — przyszedł.

— Poruczniku! wesoły facet prosi cię na kolacyę z szampanem za małą przysługę.

— Wiejski facet?—spytał.

— Wiejski.

— Czego chce?

— Kuzynostwa.

— *Rien que ça?* Dam mu rodzone braterstwo...

— Prócz tego, poszukuje jeszcze w dodatku czterech przyjaciół i znajomych.

— *Tiens, tiens.* I na co to wszystko?

— Potrzebne mu do zaimponowania ciotce narzeczonej wielkiemi koligacyami i stosunkami w świecie.

— Jeżeli mu chodzi o koligacye, to dobrześ wybrał—rzekł poważnie porucznik — bo trzeba panu wiedzieć, że matka moja z domu księżniczka Castro di Medina...

— Cieszę się i zazdroszczę ci poruczniku, krwi, płynącej w twych żyłach, książąt Castro di Medina, lecz szczegóły opowiesz mi kiedyindziej, tymczasem

szukajmy czterech przyjaciół. Idzie o ludzi znanych w świecie.

— Wybitnych — dokończył porucznik z niezachwianą powagą.—Nic dla mnie łatwiejszego. *Niente di più facile.*

— Naprzykład! — przerwałem.

— Naprzykład, ten w rogu, drugi od okna: Nozdrowicz, nazwany Nozdrinini. *Primo tenore del mondo*, gdyby głosu nie stracił. Kolega mój z armii. Amant, rębacz, zawadyaka.

— Wyborny. Drugi?

— Patrz, ten łysawy, przy okrągłym stole. Ciaputkiewicz, *distinto finanziere*, finansista europejski; mógłby być ministrem-rodakiem...

— Gdyby...

— Gdyby nie krachy i, *malheuresement*, dwa bankructwa. Za ostatnie było... coś tam... malutkiego... Nieprzyjaciele, zawiści...

— Rok?

— Niecały

— Jeżeli niecały, to go brać... Trzeci?

— *Subito, subito.* zaraz, zaraz — mówił wolno porucznik, rozpatrując się po sali. — Trzeci, mam trzeciego. *Eccolo!* Widzisz go pan? Oparty o ścianę, bierze bombę do ręki, pije... patrz, stawia ją z energią i dalej tnie. Kędzierzawski, wielki mówca, polityk, nie da sobie w kaszę dmuchać... *ingenio diplomatico.*

— Nie było nic?

— Broń Boże, ani jednego dnia! Czysty jak kryształ!

— Zgoda na Kędzierzawskiego. Czwarty?

— Ależ znam go. Powinien być w tym rachunku pierwszym. Stary szlachcic, zawołany agronom, maśliwy... pan! Przeforsował nakładami majątek... no i żył...

— Ten kto żyje, przeżywa.

— *Darrero.* Naturalnie.

— Nazwisko *forsownika?*

— Kiermaszewski — wygłosił porucznik.

— Świetnie.

— Przedstawię ich panu.

— Pozwól, poruczniku, mam inny plan.—Spojrzałem na zegarek. — Spieszę się na posiedzenie. A zatem ja cię przedstawię szlachcicowi, a ty, jego kuzyn, poznasz go ze swymi przyjaciółmi.

— Zgoda, zgoda. *Con piacere.* Jak się nazywa pański szlachcic?

— Słyszakiewicz.

— Czuję po nazwisku, że komik. Prowadź mnie pan do kuzyna. *Andiamo.*

Porucznik wdział z fantazyą lekko na bakier cylinder, wziął nieodstępną laskę i szedł za mną, strojąc twarz w arystokratyczno-protekcyonalną minę.

Otworzyłem drzwi. Słyszakiewicz we fraku i białym krawacie, zarumieniony ze wzruszenia, powstał i uśmiechnął się słodko.

— Pan porucznik Rybalczyk! — rzekłem uroczyście.

— Tyle zaszczytu, *nio*, tyle zaszczytu!—mówił Słyszakiewicz wzruszony—czemże zasłużyłem sobie...

— Nie lubię nowych znajomości — odezwał się wysoko protekcyonalnie porucznik.—Ponieważ jednak nigdy i nic nie odmawiam swym serdecznym przyjaciołom... *parole d'honneur.*

Skłoniłem się porucznikowi, wyciągającemu do mnie rękę, uścisnęliśmy się.

— Pan z których stron kraju? — zagadnął porucznik.

— Na Podolu chodziłem dzierżawami, proszę pana porucznika i *nio*, kupiłem w Zachodniej wioskę.

— Matka pańska kto z domu?—indagował pańskim tonem porucznik.

— Jeśli się nie mylę... — chwilę pomyślał. — Sierota jestem... Jeśli się nie mylę... Rybkiewicz.

— Jesteś pan pewny?

Ton porucznika przechodził w ostry.

— Tak napisane w metryce.

Twarz porucznika rozjaśniła się.

— Jeżeli tak napisane w metryce: kuzynie, uściskaj mnie!

Słyszakiewicz rozwarł ramiona, objęli się, dając sobie buzi z dubeltówki.

— Bo widzisz pan—mówił łaskawie porucznik— pierwotne nasze nazwisko było Rybkiewicz. Lecz gdy rodzina moja w XVII-ym wieku przeniosła się do Włoch, zwłoszczyła się, zmieniając nazwisko na Ribaldi. Po powrocie do kraju odwłoszczyliśmy się, dodając Ribaldiemu „*czyk*". Ale pierwotny rdzeń jest ten sam, krew ta sama, pokrewieństwo blizkie.

Słyszakiewicz skłonił się rozpromieniony.

— Tyle zaszczytu! — szepnął.

— Niezawodnie, zaszczyt i to nie mały, jeżeli dodam, że matka moja jest księżniczką Castro di Medina!

— Zawiele — zawołał Słyszakiewicz.

— Jakto: zawiele — huknął porucznik. — *Corpo di Bacco!*

— Przepraszam, proszę pana porucznika, chciałem powiedzieć, że to dla mnie dużo, bardzo dużo... *nio*, nadzwyczajna łaska...

Porucznik poklepał Słyszakiewicza po ramieniu

— Jeżeli łaska, to spada na ciebie, kuzynie' z nieba, więc ją bierz i dziękuj Bogu.

— Dziękuję, bardzo dziękuję.

Słyszakiewicz złożył ręce jak do modlitwy.

— Ośmielam się być natrętnym i prosić pana porucznika — zwrócił się do mnie — i pana dobrodzieja, abyście raczyli siąść i dysponować.

— Przepraszam — odparł Rybalczyk — jestem w towarzystwie mych przyjaciół.

— Ależ proszę i przyjaciół pana kuzyna... *nio*, niech przyjdą. proszę.

Porucznik wyszedł, zostaliśmy sami.

— Czemże ja sobie zasłużyłem na tyle łaski *nio*, czem, proszę pana dobrodzieja?

— Tem—rzekłem—że jesteś kuzynem księżniczki Castro di Medina.

— *Nie*, to traf... to tylko traf!

Uczułem w głosie Słyszakiewicza odcień dumy.

— Wszystko jest trafem. Trafem również zostajesz mężem Potockiej.

— *Nie*—powiedział cicho i kokieteryjnie zwiesił małą jak makówka głowę na piersi.

— Baw się wesoło, pokochaj swych przyjaciół i krewnych i bądź zdrów!

— Jakto, pan dobrodziej odchodzi? Nawet go szampan nie zatrzyma?

Dostrzegłem w oczach Słyszakiewicza promień radości. Albo mu ciążyła moja figura, albo ucieszył się z oszczędzonej butelki szampana.

— Znalazłszy tak dzielnego krewnego, dasz już sobie kochany pan radę.

Bojąc się, aby przyjaciele nie nadeszli, wyszedłem.

— Dziękuję. Czem się odwdzięczę, że byłem natrętnym — wołał za mną Słyszakiewicz.

W korytarzu spotkałem porucznika, prowadzącego przyjaciół.

— *Mon cousin* — odezwał się do mnie — *bonne canaille, je suis ravi... nous avons une jolie aventure. Corpo di Bacco! sona molto contento!*

— *Certainement, certainement* — odpowiedziałem i, wybiegając bocznemi drzwiami na ulicę, wskoczyłem do karetki.

Zadudniało, Hawełka znikł mi z przed oczu; byłem bardzo zadowolony z siebie.

— Jeżeli Słyszakiewicz będzie chciał, o czem nie wątpię, popisywać się przyjaciółmi, to się tak skompromituje, że się stanie niemożliwy. Skompromituje również ciotkę Raczkowską, a kto wie, czy ja nie wyratuję Sabinki.

Byłem dumny z intrygi i uradowany. Byłem pewny, że działam po myśli rodziny Zielskich. Żałowałem, że nie mogę zaraz podzielić się z nimi na-

dzieją upadku Słyszakiewicza. Nie było czasu, musiałem się śpieszyć na posiedzenie...

III.

Ciotka Raczkowska.

W hotelu krakowskim, w jednym z pokojów, umieszczonych na pierwszym piętrze, w tak zwanym numerze, leżała na łóżku złotowłosa Sabinka, a po pokoju chodziła z założonemi za siebie rękoma pani Raczkowska, otyła, o bladej kwadratowej twarzy, oczyma w głąb wsuniętemi, okrągłym nosem i grubych lukowych wargach.

— I znowu ta migrena!—mówiła poważnie tonem pewnym, przekonywającym.—Teraz, moja Sabciu, to już nikt, tylko ty sama jesteś sobie winna. *Je vous assure.* Nadzieje pogrzebane, po czemże więc rozpaczać?

— Ciociu, ja go kocham!—przerwało dziewczę, chowając zmęczoną twarzyczkę w poduszki.

— A gdyby przedemną stanęli dwaj: ten twój z kozią bródką kasyer i Słyszakiewicz... Wiesz, kogobym wybrała?... Słyszakiewicza... *ma parole!*

Sabinka rozwarła szeroko oczy na samą myśl, że może się znaleźć osoba na świecie, którąby mogła porównywać jej ubóstwianego Miecia ze Słyszakiewiczem.

— I cóż się tak patrzysz? Powtarzam, wolę sto razy Słyszakiewicza. A to dlatego, iż wiem, co mnie czeka ze Słyszakiewiczem, a coby czekało z Mieczysławem Zielskim... Moja Sabciu, i ty zdaje mi się masz o tyle rozsądku, że rozumiesz wybornie tę różnicę.

— Z Mieciem czekałaby mnie rozkosz życia, ze Słyszakiewiczem czekają nudy. Zabójcze nudy i męczarnia!...

— Już, już wpadasz w swoją egzaltacyę! Egzaltacya czasem dobra *au clair de lune*. Lecz dopiero praktyka życia rozstrzyga o życiu. Co do mnie, jestem pewna, że gdybym poszła za Słyszakiewicza, byłabym całą gębą panią. Być panią na swoim kawałku ziemi, w swoim dworze, *chez soi*, otoczoną służbą, w swoim ogrodzie, należy, jeżeli nie do rozkoszy, to niezawodnie do wygód życia.

— Wolę z Mieciem w dwóch pokoikach, na trzeciem piętrze...

— Niż ze Słyszakiewiczem w pałacu... *C'est très poëtique, mais ce n'est pas raissonable...* Zrobiłam wielkie odkrycie, że my polki trzeźwiejemy po zamążpójściu. Ja otrzeźwiałam i ty otrzeźwiejesz... Przekonasz się, że mieć męża, który będzie pierwszym sługą...

— Nie chcę męża sługi! — przerwała rozdrażniona Sabinka.

— Jeżeli nie możesz mieć bohatera z kasy pożyczkowej, poprzestań na słudze. Przekonasz się, że w życiu praktycznem bardzo wygodny.

— Ciociu! dlaczego nie mogę mieć bohatera z kasy pożyczkowej?—szepnęła Sabinka rozpaczliwie.

— Poprostu dlatego, że cię nie chce. *Voilà la mot de l'énigme.*

— Dlaczego on mnie nie chce!...

— Dziecko! dlatego samego, dlaczego ty nie chcesz Słyszakiewicza. *C'est tout simple.*

— Porównywasz mnie, ciociu, ze Słyszakiewiczem?

— Broń Boże, mówię tylko, że ty nie kochasz Słyszakiewicza, a Mieczysław ciebie. Rzecz prosta i jasna, jak słońce. *C'est clair comme le soleil!*

— Kogóż on kocha? Dlaczego taki smutny, zamyślony, czasem ponury, czasem lękliwy i zawstydzony...

— Kogo on kocha? Ależ to cały trzytomowy romans. *Patientez-vous.* Opowiem ci, jak zostaniesz mężatką. Panny nie powinny wiedzieć o takich rzeczach.

— Ciociu, proszę, błagam, powiedz to tylko, co mogę słyszeć, co mi wolno wiedzieć.

Usiadła na łóżku, składając ręce przed ciotką, jak przed Madonną.

— Wtenczas, kiedy Mieczysław był jeszcze literatem, czy dziennikarzem, kochał się w aktorce, ślicznej dziewczynie, rozumnej, sprytnej. Uciekli razem. Tułał się z nią jakiś czas po świecie, w pół roku porzucił i wrócił smutny *et endetté*... po uszy. *Pour se virer d'affaire*, wstąpił do kasy pożyczkowej. Zamknął się w sobie, pisze podobno jakieś uczone dzieło i stroni od ludzi.

— Porzucił! on, co tak szlachetne i szczytne głosi zasady?...

— Co innego zasady, a co innego praktyka życia. *Ce n'est pas la même chose.*

— Cóż ciotka Zielska? — szepnęło cicho pełne bólu dziewczę.

— Pytałam się jej, dla czego Miecio stroni od ciebie.

— I cóż?... i cóż?... mów!...

— Powiedziała mi, że syn jej jest zanadto wielką powagą, aby się zajmował młodemi dziewczętami, które uważa za wiejskie lub miejskie gąski... Powaga jego nie pozwala mu zbliżać się do wiejskiej gąski... Och, te powagi! wypchane uczonością... mówię ci, są nudne... *affreusement*... przerażająco nudne i nieznośne w życiu! *Ils sont insupportables.. le coeur se gonfle d'ennui!...*

— Cioteczko, przepraszam, ale czy naprawdę powiedziała to ciotka Zielska?

— Zapewniam cię, powtarzam prawie co do słowa.

Dziewczę siedziało na łóżku, zapatrzone w jeden punkt. Niebieskie jej oczy, pełne nieokreślo-

nego bólu, wzruszyłyby kata, lecz nie wzruszyły ciotki Raczkowskiej.

Przeciwnie, pewna zwycięztwa, uśmiechnęła się, chociaż grube usta szczelnie miała zamknięte, za to oczy jej rzucały blaski tryumfu.

— I to wszystko prawda? — powtarzała Sabinka.—Łzy płynęły po jej twarzy dwoma strumieniami. Nie ocierała ich.

— Prawda najświętsza — potwierdziła grubym głosem Raczkowska.

— Niema już żadnej nadziei?... żadnej?...

— Moja Sabciu, osądź sama.

Długą chwilę panowała cisza, której nawet nie śmiała przerwać ciotka swym ciężkim chodem.

— Pójdę za Słyszakiewicza! — rzekła silnie a nerwowo Sabinka i padła na poduszki.

— Nareszcie! *à la bonne heure!* Zaczynasz mi się podobać — zawołała radośnie Raczkowska.—Podeszła do łóżka i pochylając się nad leżącem z zamkniętemi oczyma dziewczęciem, pocałowała je w czoło.

— *Tant mieux! tant mieux!* jeszcześ nie poszła zamąż i już przechodzisz do naszego obozu, kobiet praktycznych.

Pocałunek ten dreszczem przejął dziewczynę. A ciotka mówiła dalej:

— Wychodząc za Słyszakiewicza, wygrywasz los na loteryi! Czy będzie on twym sługą, czy bohaterem romansu, mniejsza, lecz to pewna, że cię będzie szanował, ulegał ci i we wszystkiem słuchał. Będziesz prawdziwą królową... i w tem tkwi wygoda życia... *Tu te sentiras à l'aise avec lui...* On, Słyszakiewicz, gdy zostanie mężem Potockiej, *il deviendra fou de bonheur*, oszaleje z radości i wdzięczności, proch przed tobą będzie zmiatał i całował cię po nogach... Przekonasz się!...

Sabinka milczała. Wymowna ciotka nie przerywała swojej egzorty.

— Ty mieszkasz w Karłówce, ja w Karłowskiej Woli... Urządzimy sobie bardzo przyzwoicie domy i będziemy przyjmowały... Na wiosnę pchniemy powóz i konie do Krakowa; same przyjedziemy koleją... staniemy w Saskim i zabawimy się wybornie. Teatry, koncerty, spacery, wycieczki!... Wtedy twoje bohaterskie mieszczany będą nam, jadącym powozem, nizko się kłaniali z chodników ulicy i będą w duchu zazdrościli...

Sabinka nie otwierała oczu.

— Sabo, bój się Boga! — wyglądasz tak, jak gdybyś była na własnym pogrzebie!... Otwórzże oczy... bo pójdę do Mieczysława, wszystko mu powiem i przyprowadzę go tu.

— Raczej śmierć—zawołało dziewczę.—Żebrać u niego litości?... nigdy... nigdy!...

— A, widzisz! Byłam tego pewna. Wiedziałam, że Potocka ma swoją dumę.

Zbliżyła się do łóżka i tłustą szeroką ręką ujęła ją pieszczotliwie pod brodę.

— Zaręczyny odbędą się dziś cichutko we trójkę. Słyszakiewicz nosi się z pierścionkiem od chwili, gdy z Krakowa przyjechał... Jako narzeczona, zmiażdżysz i upokorzysz Mieczysława!

— Nie chcę go miażdżyć i upokarzać, lecz się dowie, że jego łaski nie potrzebuję.

— Że nie będziemy potrzebowały łaski mieszczan, to ci zaręczam, *je vous garantis!*

Do pokoju wsunęła się hotelowa służąca, oddając Raczkowskiej sześć biletów wizytowych.

— Wszyscy ci panowie, proszę pani, czekają na korytarzu.

Raczkowska przebiegła szybko oczyma bilety, chowając je do kieszeni.

— Przeproś tych panów, że ich przyjąć nie możemy; panna Sabina słaba leży. Panu Słyszakiewiczowi powiedz, aby czekał na mnie w sali jadalnej.

Służąca wyszła, Raczkowska chmurna chodziła ciężkim krokiem po pokoju.

— Cóż znaczy te sześć odrazu biletów wizytowych?—zagadnęła Sabinka.

— Widocznie Słyszakiewicz chciał się pochwalić przed Potocką swemi znajomościami i swemi stosunkami. Nazwiska nieznane.

Służąca zgromadzonym na korytarzu znakomitościom oświadczyła odpowiedź Raczkowskiej.

— Słuchajno pan — odezwał się, podciągając wąsa i srożąc marsa *forsownik* Kiermaszewski—to już szóste drzwi, od których nas z kwitkiem puszczają... Czy to czasem nie drwiny?

— *Quelle idée, quelle idée*—odparł porucznik—wszak to my mieszczaństwu łaskę robimy, idąc do niego.

— Ależ, szanowni panowie, robicie mnie i im wielką łaskę — poświadczył Słyszakiewicz — nadzwyczajną łaskę... *nio*... i dobrodziejstwo! Przepraszam panów!

— Tak, czy siak, schodziłem dla pańskiej przyjemności dwadzieścia pięter i nogą więcej nie ruszę—oświadczył Kędzierzawski.

— Nie opłaci się—potwierdził finansista.

Nozdrini, nie tracąc czasu, nucił aryę „Lunatyczki", wyciągając dramatycznie ręce do służącej.

„Gdybym cię mógł nienawidzieć,
Serce ulgiby doznało"...

Dziewczyna się śmiała.

— Napracowaliśmy się — oświadczył Słyszakiewicz—*nio* i dosyć tego. Zapraszam kochanych panów na śniadanko do Hawełki!—Zwrócił się do porucznika.—Drogi kuzynie! rządź i rozkazuj... ja płacę. Wrócę do was za kwadransik. Do widzenia, do widzenia!

Ściskał po kolei wszystkich i kłaniał się.

— Wracaj do nas, bo czekać nie będziemy.

— *Nio*, czekajcie, panowie, proszę, bardzo proszę!... kochany kuzynie, dyryguj, słowo honoru, ja płacę.

Nozdrini śpiewał dalej:

„Ale tylko mogę szydzić...

— Idź pan, idź, ze swojem szyderstwem—przerwała urażona służąca.—Bardzo o to stoję, czy pan nienawidzisz, czy szydzisz...

— *Bella, carissima ragazza, addio, a rivederci!...*

Sprezentował laskę jak szpadę i zwracając się do przyjaciół, zakomenderował:

— *Allons enfants de la patrie...* do Hawełki!...

Zaturkotało na ulicy, Słyszakiewicz poprosił służącej, aby zawezwała Raczkowską: sam wszedł do pustej jadalnej.

— Wygrałeś! jesteś pan dzieckiem szczęścia!— mówiła szybko ciotka, zasapana, wyciągając tłustą rękę do Słyszakiewicza.—Dziś, po obiedzie, odbędą się zaręczyny, tu, skromnie, cicho. Ja jedna was zaręczę.

Słyszakiewicz obsypał tłustą rękę pocałunkami.

Raczkowska wyjęła z kieszeni bilety wizytowe:

— Co to znaczy?

— To, co pani dobrodziejka kazałaś: czterech przyjaciół i jeden kuzyn. Byłem z nimi u całej rodziny, lecz nikt nas nie przyjął.

— Kto pana poznał z tymi ludźmi?

— Któżby?—i wymienił moje nazwisko.

— Do niegoś się pan udawał?...

— A do kogóż innego, dobrodziejko?

— Trafiłeś, jak kulą w płot. Jest to literat, demokrata, przyjaciel Zielskich.

— Więc cóż?...

— To, że zadrwił z pana.

— Jakim sposobem? dlaczego? za co?

— Takim sposobem że—schwyciła bilet Kiermaszewskiego—znam tylko jedno nazwisko z tych

pięciu i to mi wystarcza, aby być pewną, że pański protektor chciał pana ośmieszyć przed całą rodziną Sabinki!

Słyszakiewicz wziął bilet z rąk Raczkowskiej:

— Ależ pani, to wielki *forsownik!* pan! zna życie i świat...

— Aż nadto, aż nadto... Lecz to ja jestem temu wszystkiemu winna. Chciałam upokorzyć mieszczan, a ten człowiek zadrwił z pana i ze mnie.

— Nic nie rozumiem.

— Ale ja jego nauczę rozumu! — mówiła do siebie Raczkowska.

— Pani dobrodziejko, powiem prawdę, że ja tylko to robię, co pani każe.

— I dlatego, że mnie słuchasz, Sabinka będzie pańską żoną. Przyznam się panu, że w tej chwili dbam o całą tę rodzinę Zielskich tyle, co o zeszłoroczny śnieg. To już wszystko mieszczuchy. Mówię panu, mam nieprzezwyciężony wstręt do mieszczaństwa!

— Bo jest za co, pani dobrodziejko. Próżniaki, gryzipiórki!... my ich żywimy i odziewamy, a oni...

— Nie mają żadnej dla nas wdzięczności—dokończyła Raczkowska.

— Żadnej, żadnej! Każą sobie tylko fundować... grymaszą, krzyczą...

— Kupiłeś pan powóz?

— Targuję u Meiznera.

— Obejrzę go po zaręczynach. Dziś pożegnalny wieczór u Zielskiej, jutro kontrakt o dożywocie Korłowskiej Woli i w drogę.

— W drogę, w drogę!... tak mi tęskno za Korłówką... za bydełkiem, konikami...

— I za Pyzdrakowską...

— Co też pani dobrodziejka mówi!

— Wiem wszystko, nicponiu; musisz ją natychmiast po przyjeździe odprawić.

— Rozkaz spełnię, ale grzechu nijakiego na mnie niema.

— Byłeś u Mieczysława Zielskiego?

— Właśnie się wybieram...

— Któryż to twój kuzyn? — zaczęła przerzucać bilety.

— Porucznik Rybalczyk; jaki elegancki, jaki pan! po francusku, po angielsku, czy tam po włosku... bo już nie wiem... *ekspedyte!...* Dwanaście bateryi strzelało do niego jednego, a on stał, jak mur, aby cały nieprzyjacielski ogień skoncentrować na siebie.

Raczkowska się rozśmiała.

— Jak Pana Boga kocham: sam to mówił!

— Idź do Zielskiego, ale tylko z jednym kuzynem. Zawsze to wojskowy.

— Dobrze, słucham. Punkt o trzeciej stawiam się z pierścieniem.

— Do widzenia. Pyzdrakowską precz... i wykadzić po niej...

— Rozkaz spełnię, ale nijakiego grzechu niema na mnie...

IV.

Zielscy.

Rodzina Zielskich cieszy się w Krakowie powszechnym szacunkiem i sympatyą. Osiadła ona w mieście już od lat blizko czterdziestu. Nieboszczyk, p. Michał Zielski, posiadał niegdyś rozległy majątek ziemski, ale, odziedziczywszy go po ojcu w stanie opłakanym, z hypoteką nad miarę obciążoną, nie był w stanie oczyścić go z długów i uratować od subhastacyi. Była w tem w części i jego

własna wina. Przywykły od dzieciństwa do życia wystawnego i wielkich wydatków, nie umiał ograniczyć swych potrzeb i swej hojności, a tem samem zastosować się do zmienionych stosunków, które wymagały wyrzeczenia się tego wszystkiego, co dawną przypominało zamożność.

Gdy go przewidywana zdawna katastrofa wyzuć już miała z ojcowskiego majątku, radziły mu siostry, wówczas już zamężne, pani Potocka i pani Raczkowska, aby się ożenił bogato. Przystojny, dobrze wychowany, piękne posiadający nazwisko, mógł posagiem żony spłacić długi i zagrożone mienie ocalić. Ale p. Michał nie posłuchał tej rady. Zamiast z milionerką wysokiego rodu, którą mu rajono, ożenił się z panną Tyszlerówną, córką mieszczanina, właściciela kilku kamienic, a ojca kilkorga dzieci. Wziął w spadku po rodzicach żony nie dużą kamienicę przy ulicy Grodzkiej. A kamienica ta stanowiła teraz całe już mienie młodych państwa Zielskich. Majątek ziemski zlicytowano i nie wiele z niego dostało się p. Michałowi.

Sprowadził się p. Michał do miasta, a na pochwałę jego przyznać się godzi, że jeżeli własnym majątkiem szafował wprzódy rozrzutnie, to z chwilą jego utraty wyzbył się szlacheckiej fantazyi i z mająteczkiem żony obchodził się jak z majątkiem cudzym, powierzonym jego administracyi i opiece, z którego ani grosza uronić się nie godzi i z którego najściślejszy zdać należy rachunek. Jak wąż, zrzucający własną skórę i porastający w nową, wyzuł się p. Michał ze skóry szlacheckiej i stał się mieszczaninem całą duszą.

Ułatwiła mu tę metamorfozę rozumna i kochająca żona i cała zacna rodzina Tyszlerów.

Z rogu obfitości sypały się im... dzieci. A umierając mógł na nie p. Michał spoglądać ze spokojem i ufnością, że po jego śmierci niedostatek nie zajrzy im w oczy i że najzacniejsza pani Zofia potrafi je wychować na uczciwych mieszczan i losem

ich tak pokierować, aby umieli żyć z własnej pracy, a nie z tych gołąbków, które same do gąbki wlatują.

I potrafiła. W chwili, w której wstępujemy do jej domu, panna Kasia 20-letnia, panna Zuzia 17-letnia i panna Antosia 16-letnia, trzy urodziwe córy, zajęte są przygotowaniami do przyjęcia gości, którzy mają wieczorem ich dom nawiedzić—dwadzieścia kilka osób, a sama prawie tylko rodzina. Najstarsza ich siostra, pani profesorowa Kalewska z mężem i córeczką; najstarszy brat, p. Włodzimierz Zielski, współwłaściciel drukarni, z żoną i jej córką; drugi, p. Kazimierz Zielski, doktór medycyny z żoną; trzeci, p. Wacław, urzędnik sądowy; czwarty, p. Mieczysław, literat z zawodu i zamiłowania, który jednak przekonawszy się, że literatura piękna nie daje mu dostatecznych środków do życia, wziął się do dziennikarstwa, a następnie przeniósł się do instytucyi finansowej, do tak zwanej kasy pożyczkowej mieszczańskiej i obecnie przed kilku dniami uzyskał w niej posadę drugiego dyrektora. Piąty wreszcie syn pani Zofii, p. Czesław, był uczniem szkoły sztuk pięknych.

To wszystko dzieci pani Zofii. A oprócz nich przybędą na familijne zebranie jej bracia i bratanki, siostra i siostrzenice; p. Tadeusz Tyszler z dwiema córkami, p. Bolesław Tyszler z żoną i córką i trzema synami, pani Barbara Zaraniecka, z domu Tyszlerówna, z czterema córkami i synem.

A całe to zebranie familijne spowodował przyjazd pani Raczkowskiej z Zielskich z panną Sabiną Potocką, której nieboszczka matka była rodzoną siostrą pani Raczkowskiej i ś. p. pana Michała Zielskiego.

Oprócz tych gości z grona rodziny, ma się zjawić na wieczorze narzeczony panny Sabiny, p. Emil Słyszakiewicz, a wraz z nim kilku jego przyjaciół, w których gronie i ja się mam znajdować. Nie jestem obcym w tym domu i bywam tam bardzo często.

Szczególnie w ciągu ostatniej zimy bywałem tam prawie co tydzień. Przyjęcie nie było wytworne, bo oprócz herbaty, chleba z masłem i szynki, a czasem klusek z serem, nigdy tam innych potraw nie widywałem, ale zato bawiono się wybornie, a całe zebranie ożywiała taka niewymuszona, serdeczna wesołość, że wychodząc z domu pani Zielskiej, świat się piękniejszy wydawał, życie znośniejszem, a ludzie lepszymi. W całem tem licznem gronie nie było ani jednego człowieka niezadowolonego, skwaszonego, znudzonego, nie było ani jednego próżniaka, a mimo różnicy zawodów i zajęć, łączyło wszystkich nieklamane przywiązanie i wspólne szlachetne łączyły dążności.

Słowa: „kuzynie, kuzynko, kuzynku, ciociu, stryjaszku, wujaszku“ wśród tego świergotu panien i młodzieży latały ponad stołem i z rogu do rogu salonu, jak wróble na boisku. Choć obcy byłem w tej rodzinie i tylko stosunek dawnej serdecznej zażyłości mnie z nią łączył, zdarzało się nieraz, iż która z panien, lub który z młodych chłopców nazwał mnie „wujaszkiem“, a która z pań „kuzynem.“ W całem tem gronie nie było „pana.“

Bawiono się wyśmienicie. Nie brakło tam talentów muzycznych, nie brakło i głosów pięknych, śpiewano solo i chórem, urządzano tercety, kwartety. Młodzież deklamowała. Czytano czasem utwory naszych poetów, czasem ten lub ów miał rodzaj wykładu w przedmiocie swego zawodu, z którym inni zapoznać się chcieli, choćby już dlatego tylko, że interesowały ich zajęcia miłego sercu prelegenta.

Ale bywały dnie, w których rozbawione do pustoty towarzystwo o uczonych przedmiotach słuchać nie chciało, wtedy następowały czasem tańce, lecz salon nie był dość obszerny do tańca, więc gry i zabawy przeróżne. Gdy zebranie było liczniejsze, wówczas i na gry, połączone z ruchem i bieganiem, miejsca było zamało, więc zasiadłszy koło długiego stołu, bawiono się grą towarzyską nowego rodzaju,

której wypada nam parę słów powiedzieć, gdyż w naszem opowiadaniu odgrywa ona główną rolę.

P. Włodzimierz Zielski, właściciel drukarni, wprowadził w modę tę grę pouczającą i zabawną, przywiezioną podobno z zagranicy, tak zwaną przez niego „grę zecerską.“ Do zabawy tej służą na małych kwadratowych kartonikach wydrukowane litery alfabetu; oczywiście dla większego towarzystwa potrzeba alfabetów takich kilkadziesiąt, aby każdy mógł łatwo w tym stosie liter te wyszukać, które mu są potrzebne. Z liter tych układa każdy jakiś wyraz o kilku lub kilkunastu głoskach i rozsypawszy je następnie, daje sąsiadowi do odgadnięcia. Jeśli to krótki wyraz, z niewielu liter złożony, łatwo go złożyć napowrót, ale jeżeli dłuższy i mało używany, dobrze musi się „zecer“ namozolić, zanim go odgadnie. Trudność jeszcze większa, jeżeli z liter podanych każą nam złożyć jakieś hasło lub przysłowie z trzech lub czterech wyrazów złożone, lub też imię i nazwisko. Zwolna nabiera się jednak wprawy w tej „zecerskiej zabawie“ i coraz większego do niej zapału. Zawziętość jakaś ogarnia grających, aby odgadnąć wyraz i złożyć go z podanych liter. Znam obecnie domy, gdzie dzieci i starcy po całych wieczorach bawią się w *„zecerkę“* z prawdziwą namiętnością. A kto nie wierzy, aby ta zabawa urość mogła w namiętność, niech spróbuje.

Rozpisałem się o niej szerzej, gdyż, jak wspomniałem, w opowiadaniu naszem zabawa ta pewną odgrywa rolę.

Wracam do rzeczy.

Z całej rodziny Zielskich, Tyszlerów i Zaranieckich, najbliższe, a nawet serdeczne stosunki łączyły mnie z Mieczysławem Zielskim i ze Zbisiem Tyszlerem. Wspólne były nasze zamiłowania literackie, w jednem obracaliśmy się kole wyobrażeń, niekiedy nawet wspólną podejmowaliśmy pracę. Mieczysław, chociaż z literata i dziennikarza stał się

finansistą, dawnym nie przestał kłaniać się bogom, czas wolny od obowiązkowej pracy poświęcał zajęciom literackim, czytał bardzo wiele, a nawet niekiedy próbował pióra, to w tym, to w owym kierunku. Zbiś, ekscentryczny nieco w pomysłach, posiadał jednak niewątpliwy talent pisarski i pełną oryginalności twórczość, jakkolwiek brak mu było tej łatwości w przeprowadzeniu tematu, którą cechują zwykle płytsze tylko umysły.

Nie wiem prawdziwie, który z nich dwóch był mi sympatyczniejszy: Zbiś poeta, który z żelazną wytrwałością imał się pracy, oddawszy się na oślep całą duszą zawodowi literackiemu, czy Mieczyś, pełen bystrości i krytycznego zmysłu literat-dyletant, tak trafne o każdym utworze i tak surowe wydający sądy, a najsurowsze o własnych.

Trzecim, nieodłącznym ich towarzyszem, był młodszy od nich znacznie, sposobiący się również do zawodu literackiego akademik Zygmuś Zaraniecki, z powodu kolosalnego wzrostu i atletycznej budowy przez kolegów „gigantem“ zwany.

Wszyscy trzej byli to „chłopcy jak złoto“, a jeden ładniejszy od drugiego. Zygmuś jak posąg siły, zdrowia, młodzieńczego zapału; Zbiś, ciemny brunet, o delikatnych, subtelnych rysach twarzy, znamionujących jakiś fanatyzm szlachetnej idei; Mieczysław wreszcie z jasno-blond włosami i bródką, z błyszczącemi, przenikliwemi siwemi oczyma.

Zastałem ich wszystkich trzech razem w mieszkaniu Mieczysława, do którego się udałem nazajutrz po tej wizycie dziwacznej, jaką mnie zaszczycił p. Słyszakiewicz.

Przed drzwiami już pokoju Mieczysława, otrząsając w sieni śnieg z paltota i czapki i wycierając buty na rogóżce, usłyszałem ich głosy: żywą dysputę, zaostrzoną prawie do sprzeczki i głośny basowy śmiech Zygmusia Zaranieckiego, świadczący, że sprzeczka ta nie grozi kłótnią na seryo.

— Co się tu dzieje? — zawołałem, stając we drzwiach, a gęsty obłok dymu tytuniowego z papierosów zasłonił mi widok i osiadając parą na moich okularach, zmusił do szukania po omacku drogi do stolika, przy którym siedzieli.

Podali mi ręce, nie odzywając się do mnie ani słowa i kłócili się dalej. A nad ich głosami huczał śmiech Zygmusia, tak, że aż trzeszczało łóżko, na którem siedział rozparty, wydmuchując co chwila olbrzymie kłęby dymu.

— Co się dzieje? — pytałem, zasiadłszy w fotelu, wycierając zapocone okulary. — Czego się tak kłócicie?

A żaden z rozgorączkowanych antagonistów nie odpowiedział mi na to pytanie.

— Dzieciństwo! nieprawdopodobieństwo!—wołał Mieczysław, wzruszając ramionami.

— Ależ jakie? w czem? powiedz!—domagał się Zbigniew i gestykulując, wyciągał ku niemu obie dłonie, jak żebrak włoski, dopominający się o jałmużnę pogróżkami.

— Kolosalne! piramidalne!... dziwię się, pojąć nie mogę, że tego nie czujesz!—i zniecierpliwiony chodził po pokoju szybkim krokiem, przecież to jasne jak słońce! jaśniejsze!

— A to oświeć-że mnie raz tem twojem słońcem krytycznem i powiedz, w czem tu nieprawdopodobieństwo!

— Martwi mnie ten twój koncept dziwaczny! powątpiewać każe o twych zdolnościach literackich!

— Przecież prosta logika...

— Jakbyś „bzika dostał...“

— Dlatego, że pomysł wychodzi po za ramy zwykłego szablonu... że nie jest banalny... że nowy...

— Dziecinny!

— Ty nie pojmujesz innej przyszłości dla literatury, tylko kopiowanie i kopiowanie poprzedników...

— Lepsze kopie od takich oryginalnych niedorzeczności!

— Cóż tu w tej mojej nowelce niedorzecznego? nuże, powiedz już raz!

— Jedno tylko, ale wystarcza, aby cię każdy wyśmiał jak człowieka, który każe ludziom wierzyć, że dwa razy dwa jest siedemdziesiąt pięć!

— Chyba wedle twojej matematyki.

— A więc wedle ciebie taki zbieg okoliczności jest możliwym?

— Najzupełniej!

— Prawdopodobnym?

— Dajże pokój, z tym wyrazem, który niema sensu! W utworze literackim *niema* nieprawdopodobieństwa, nie istnieje.

— A! to mi dopiero zasada!

— Tak jest. *Niema* nieprawdopodobieństw i nieprawdopodobnych zdarzeń w utworach wyobraźni. Poeta tworzy taki świat, jaki chce stworzyć i ten świat nietylko jest prawdopodobnym, ale jest najzupełniej prawdziwym, jeśli wewnętrznych niema w nim sprzeczności, kontradykcyi, niekonsekwencyi.

— Ależ ty chcesz świat do góry nogami przewrócić. Chcesz, aby w literaturze mrzonka zastąpiła miejsce realnej prawdy!... A więc wedle ciebie, ten wyraz „nieprawdopodobieństwo niema nawet sensu?

— Owszem, ma sens, ale nie taki, jaki ty mu nadajesz. Prawdopodobne i nieprawdopodobne... to są pojęcia, mające tylko względną wartość. Jeśli w bajce rozmawiają ze sobą zwierzęta, albo nawet sprzęty domowe, to niema w tem nic nieprawdopodobnego. Jeśli w epopei rycerz wielkiej ręki ścina trzy łby bisurmańskie jednym zamachem szabli, to niema w tem nic nieprawdopodobnego. Ale gdybyś przeniósł taki czyn bohaterski do powieści realistycznej...

— Czy mnie chcesz abecadła uczyć?

— Jeśli je znasz, czemu prawisz mi o nieprawdopodobieństwie?

— To zupełnie co innego.

— Zupełnie to samo.

— Tu idzie o nazwiska, o nieprawdopodobieństwo nazwisk, na których przypadkowem spotkaniu się w twej nowelce jest oparta cała intryga. Trzeba na to twego uporu, aby nie widzieć nieprawdopodobieństw w takim zbiegu okoliczności, w takim cudownym trafie...

— Cóż to za cudowny traf? Gdybym tych szlachciców ponazywał np. jednego Wiclipucli, drugiego Popokatepetl, to byłoby nieprawdopodobne, ale...

— Wiecie co? — zahuczał swoim basem Zygmuś Zaraniecki — mamy tu teraz wujaszka — (tak mnie nazywał), zdajcie się na jego sąd!

Milcząc przysłuchiwałem się temu sporowi i zacietrzewieniu adwersarzy, zamieniając tylko znaki porozumienia z Zygmusiem. Wyczerpani szermierką słowną przeciwnicy, zwątpiwszy już oba o możności zwycięztwa w dyspucie, przeciągającej się bez końca, zgodzili się chętnie na propozycyę Zygmusia.

— Dobrze! dobrze! niech wujaszek kochany rozsądzi — zawołali obaj, każdy w przeświadczeniu o słuszności swej sprawy.

— O cóż więc idzie? niech się dowiem. A proszę mówić spokojnie, bo ktoby się unosił, to mu głos odbiorę.

— Idzie o to—zabrał głos Zbiś Tyszler—napisałem nowelkę, humoreskę raczej, której bardzo mało przypisuję wartości, prawie żadnej, ale przeciw której Mieczysław podniósł zarzut, na który zgodzić mi się niepodobna i który mnie żywo obrusza, bo jeżeli to zarzut prawdziwy, to ja chyba winienem zabrać się do kominiarstwa, a nie do pisarstwa...

— Czy tak się rzeczy mają?—przerywając Zbisiowi, zapytałem Mieczysława.

— Nie—odrzekł—bo nowelka Zbisia napisana z prawdziwym talentem, zgrabnie, elegancko, dowcipnie. Charaktery wybornie nakreślone, kilka typów szlacheckich zupełnie nowych, akcya żywa, zajmująca, dyalog świetny... ale intryga cała opiera się na fakcie, który jest najabsolutniej nieprawdopodobnym, niemożliwym!

— Cóż to za fakt?

Mieczysław zerwał się do głosu.

— Nie, nie! — przerwałem. — Naprzód niech autor nam opowie treść swojej noweli.

— Treści całej opowiadać nie warto — rzekł Tyszler. — Zresztą Mieczysław nic osnowie nie zarzuca, tylko jednemu szczegółowi, który służy do zawiązania intrygi: są to *nazwiska* obu rywali. Obierając te nazwiska, popełniłem wedle jego zdania niedorzeczność bez granic...

— Nieprawdopodobieństwo! — poprawił Mieczysław.

— Jakież to nazwiska? — zapytałem zaciekawiony.

— Jeden się nazywa: *Kalikst Wojna.*

— Ród starodawny senatorski.

— Jest i gramatyka polska Jana Wojny z XVII-go wieku — dodał Zygmuś.

— No, a wicekanclerz galicyjski przy schyłku przeszłego wieku, Franciszek Ksawery Wojna, protoplasta dzisiejszych stańczyków — dorzucił Mieczysław.

— Dobrze. Więc cóż? — zapytałem. — Czy to nazwisko wydaje ci się nieodpowiedniem dla bohatera noweli? Nieprawdopodobnem?

— Ale bynajmniej! — zaprotestował Mieczysław.

— Nazwisko jego rywala — ciągnął dalej Tyszler — jest: *Jan Klatowski.* Czy może to nazwisko nieprawdopodobne?

— Ale owszem — odparłem — znam sam Józefa Klatowskiego, dzierżawcę w tarnopolskiem.

— Ja znam Mikołaja Klatowskiego, urzędnika straży skarbowej — dodał Mieczysław.

Spojrzałem na niego zdziwiony.

— Więc cóż sobie do tych nazwisk upatrzyłeś?

Zbiś Tyszler śmiał się zadowolony, Zygmuś mu wtórował basem.

— Ale nic, nic wcale — zerwał się Mieczysław, głos podnosząc zirytowany — nic wcale nie upatrzyłem sobie do żadnego z nazwisk zosobna, tylko do obu razem. Oba *razem* są zupełnie niemożliwe! Niemożliwe, powtarzam! Te dwa nazwiska nie mogły się spotkać w osobach dwóch rywali!

— Dlaczego? dlaczego? — zapytałem z coraz wyższem zdziwieniem, przypuszczając, że to nie Tyszler, ale on „dostał bzika".

Mieczysław nic nie odpowiedział. Z gestem zniecierpliwienia zasiadł do biurka i, wyjąwszy z szuflady arkusz papieru, napisał na nim wielkiemi literami imię i nazwisko:

JAN KLATOWSKI.

Następnie pociął to nazwisko nożyczkami na pojedyncze litery i położył na stole przedemną.

— Co to ma znaczyć? — zapytałem.

— Złóż.

Ustawiłem z porozcinanych liter nazwisko Jana Klatowskiego.

— A teraz przypatrz się—rzekł, przestawiając porządek tych liter i złożył z nich nazwisko KALIKST WOJNA.

— Kalikst Wojna! — przeczytałem — ah, to zabawne!...

— Tak jest — rzekł — zabawne, ale tylko zabawne. W życiu rzeczywistem taki wypadek zdarzyć się nie może, a Zbiś właśnie na tej łamigłówce, na tym figlu buduje całą intrygę swej nowelki... przynajmniej służy mu on do jej nawiązania.

— Powiedz-że mi — zagadnąłem Zbisia — czy dużo strawiłeś na to czasu, aby wyszukać takie

dwa nazwiska o tak różnem brzmieniu, a jednak składające się z tych samych liter?

— Ale bynajmniej! Mylisz się najzupełniej, sądząc, że to tak trudno i że te nazwiska są wyjątkowe. Jest takich między naszymi znajomymi bardzo wiele. U wuja Włodzimierza przeszłego tygodnia bawiliśmy się w „zecerkę“, jak on tę grę nazywa. Przestawiałem litery jakiegoś nazwiska, gdy mi przyszedł pomysł tej noweli. Wróciwszy do domu, szukałem odpowiednich nazwisk i w przeciągu godziny miałem już cały tuzin do wyboru...

— Naprzykład? — zapytałem niedowierzająco.

— Naprzykład: stróż mojej ciotki nazywa się *Stanisław Piwek*, a w jej domu ma sklep korzenny p. *Paweł Switański*. Te dwa nazwiska składają się z tych samych liter. U wuja Włodzimierza jest zecer nazwiskiem *Wacław Odymik*, a znasz pewne tego typowego szlachcica z dużemi wąsami, włóczącego się po kawiarniach i szukającego ze wszystkimi zaczepki.

— *Adam Wywłocki?*

— Tak jest. Otóż i te dwa nazwiska z jednakich liter złożone. P. *Michał Ukrynek* robi mi buty, a z jego nazwiska da się ułożyć nazwisko: *Henryk Małucki*. Wiem, że są Małuccy, może jest i Henryk między nimi... Czy masz dość tych przykładów?... Ah, jeszcze jeden: znasz p. *Leonarda Cierzawskiego?* znasz go pewnie z widzenia, tego melomana staruszka, który chodzi na wszystkie koncerty i woła: bis! bis!... A znasz pewnie takiego garbatego urzędnika pocztowego z podwiązaną twarzą, bo wszyscy go znają. Nazywa się *Karol Drenasiewicz*. Jedno nazwisko da się na drugie przemienić... Czy dość już?...

— Dość, dość! — przerwał mu Mieczysław — ale temi przykładami mnie nie przekonasz, żeby to nie były wypadki wyjątkowe.

Zbiś wzruszył ramionami. Mieczysław zwrócił się do mnie:

— A teraz posłuchaj! opowiem ci treść jego nowelki.

— Słuchamy.

Mieczysław opowiadał:

— W uroczym dworku w Łanowicach mieszkają państwo Krasnowolscy, ludzie bardzo zamożni. Córka, osiemnastoletnia Cesia, śliczna jak jagódka, dobra jak aniołek, ale grubo posażna i dlatego nikt z zakochanej w niej okolicznej młodzieży nie śmie uderzyć w konkury, w tem przekonaniu, że każdy z nich dostałby odkosza i że rodzice o świetniejszej dla Basi marzą partyi. Pośród tej młodzieży jeden tylko p. Kalikst Wojna, licząc na historyczne swe nazwisko i na ładny pałac z parkiem, jaki posiada, roi sobie pewne nadzieje, że jeśli względy panny pozyska, to może i rodziców zjedna. Kręci się koło panny i nadskakuje, ale wyraźniej objawić swych sentymentów nie śmie. Pannie nie bardzo się podoba, ale panna wogóle jeszcze na nikogo nie zwróciła uwagi, a serduszko jej jeszcze śpi. Panna Cesia prowadzi bardzo ożywioną korespondencyę ze swoją przyjaciółką Hanią, zamieszkałą o mil kilka od Łanowic, w Dzikówce. Otóż panna Hania donosi pannie Cesi, że w Dzikówce odbyło się wielkie polowanie, w którem wzięła udział cała prawie młodzież okoliczna. A potem zjechały i mamy z córkami i były zabawy i tańce. Wszystkie ciekawsze epizody tych dni opisuje panna Hania najdokładniej swej przyjaciółce. Pełno tam drobnych spostrzeżeń panieńskich o młodzieży, pełno ploteczek, opowiedzianych z dziwną naiwnością i wdziękiem. Wogóle list ten nakreślił Zbiś po mistrzowsku. Otóż w końcu listu donosi panna Hania, że jej brat Waluś opowiadał o różnych zwierzeniach swoich przyjaciół, a między innemi o jednem zwierzeniu, które dotyczy Cesi. Oto jeden z tej młodzieży tak w niej jest zakochany, że o niej tylko marzy i śni, ani o zabawie, ani o gospodarce myśleć niezdolny i po całych godzinach bywa pogrążony w dumaniu ponu-

rem. Zwierzył się Walusiowi, że nie mając żadnej nadziei, aby mógł serce panny pozyskać, stracił ochotę do życia, które bez Cesi żadnego dlań niema uroku i często przychodzi mu na myśl, aby przerwać pasmo dni swoich samobójstwem. „A co? — pyta panna Hania w dalszym ciągu listu — czy ciekawaś, kto to taki? Nie powiem. Odgaduj, posyłam ci rozsypane litery, z których składa się jego imię i nazwisko".

— I cóż dalej? — zapytałem.

Rzecz prosta. Hania pocięła na litery nazwisko Kaliksta Wojny, a Cesia złożyła z nich przypadkiem nazwisko Jana Klatowskiego. Zaczęła o panu Janie rozmyślać i rozmyślać, przypominać sobie jego zakochane, melancholiczne spojrzenia, jego posępne uśmiechy, jego głos dźwięczny itd. itd., dość, że rozmyślanie o nim stawało się dla niej z każdym dniem milsze, a wreszcie stało się potrzebą duszy. Aż tu zjawia się przypadkowo p. Klatowski, któremu ani się marzyło o szczęściu, jakie go spotka w Łanowicach.

— I zapewne panna Cesia sama mu się oświadcza?

— Nie, ale bojąc się, aby sobie życia nie odebrał, taką manifestuje mu sympatyę gorącą, że poczciwy Jaś, najnieśmielszy z całej młodzieży, nabiera odwagi i oświadcza jej się po kilku godzinach pobytu, a wieczorem prosi o jej rękę rodziców, którzy nie są w stanie oprzeć się gwałtowności, z jaką panna Cesia objawia swoje przywiązanie do pana Jana.

— No, a teraz rozstrzygaj — zawołał autor nowelki — czy jest w tem co nieprawdopodobnego? Słucham wyroku.

— Rzecz prosta — przerwał mu Mieczysław — zdarzenie takie jest nietylko niemożebne, ale tak nieprawdopodobne, że czytelnik ani na chwilę nie będzie mógł się łudzić... A powieść, która tego złudzenia nie daje...

— Znowu wracasz do swojej katarynki — zawołał niecierpliwie Tyszler. — Jeśli oba nazwiska są możliwe, to i zdarzenie możliwe!

— Niedorzeczność!

— Twój zarzut niedorzeczny!

— Cicho dzieci! cicho! — wpadłem na nich. — Mnie oddaliście sąd w tej sprawie i, jako przewodniczący przesłuchanie stron ogłaszam za zamknięte.

— A wyrok? — zapytali oba razem.

— Rzecz wymaga namysłu. Wyrok odraczam do jutra.

Obaj czuli się pokrzywdzeni. I Zygmuś był niezadowolony.

— A teraz słuchajcie — rzekłem — nie mówmy już o noweli Zbisia, bo przyszedłem tu do Mieczysława w innym interesie, ważniejszym.

— Słuchamy.

Opowiedziałem im o wczorajszej wizycie, jaką mi złożył p. Słyszakiewicz, i o metodzie, jaką obrał celem znalezienia naprędce potrzebnych mu „długoletnich znajomości", przyjaciół i krewnych. Opowiedziałem im także o wczorajszej kolacyi u Hawełki.

Byłem przekonany, że się uśmieją, opowiadanie moje jednak wręcz przeciwny na nich wywarło skutek. Sposępnieli, spochmurniały im czoła, w najgorszy wpadli humor wszyscy trzej. Mieczysław, targając swoją złotą bródkę, drugą ręką bębnił niecierpliwie palcami po stole. Zbiś przecierał czoło dłonią i, nieartykułowanemi wykrzyknikami objawiając swoje niezadowolenie, szastał się po pokoju od kąta do kąta. Zygmuś, bawiąc się scyzorykiem, temperował ołówek i odkruszał koniec, temperując coraz dalej; wreszcie złamał ołówek i rzucił go zgniewany pod łóżko.

— Stosunek, który mnie wiąże z całą waszą rodziną — zakończyłem — nakładał na mnie obowiązek, abym wam to wszystko opowiedział. Ale teraz wy mi powiedzcie, może wiecie co więcej

odemnie: kto jest ten pan Słyszakiewicz? co to za figura? i dlaczego waszą kuzynkę wydajecie za niego?

Zygmuś zeskoczył z łóżka na równe nogi.

— My? my wydajemy? ależ to ciotka Raczkowska wydaje Sabinkę, mimo perswazyi całej rodziny!

— Pytasz, co to za figura? — odezwał się Tyszler, zatrzymując się w swej peregrynacyi po pokoju — sam już go scharakteryzowałeś dostatecznie: jest to człowiek, którego nikt nie zna, który nie ma krewnych, przyjaciół, ani nawet znajomych, mimo wieku czterdziestu lat blizko, a może przeszło czterdziestu...

— Nikt go nie zna — powtórzył Zygmuś — choć od lat ośmiu kupił Korłówkę i w te strony się sprowadził. Co dawniej robił, nikt nie wie... ale rozmaicie ludzie opowiadają...

— Cóż opowiadają?—zapytałem.

— Ah, długoby o tem mówić!... Opowiadają, że przez pośrednictwo żydów pożyczał na lichwę... ale to już chyba nieprawda, bo dziś tego nie robi, a takiego intratnego zajęcia się zwykle nie porzuca.

Mieczysław nie odzywał się ani słowa, bębnił tylko coraz silniej po stole.

— Mój ojciec — rzekł Zbiś — rozpisywał listy w te strony, zkąd Słyszakiewicz miał się sprowadzić do Korłówki, ale tam wieści o nim zaginęły. Człowiek prawie bez wykształcenia, ale widać po nim przecież, że się w różnych sferach obracał i z niejednego pieca jadł chleb. Prostak niby to bez ogłady, niby to naiwny i prostoduszny, sama szczerość, ale kuty na cztery nogi!

Zygmuś dodał:

— Widocznie wiele mu na tem zależy, aby sobie nas wszystkich zjednać... Musi mu to być na coś potrzebne, bo żeby mu tylko o Sabcię chodziło, to wątpię. On potrzebuje naszej całej rodziny.

— Może—rzekł Zbiś—może czuje się zagrożonym przez ludzi, z którymi dawniej go łączyły stosunki i którym znikł był z oczu, sprowadziwszy się w nasze strony. Wie on dobrze, że wszedłszy do naszej rodziny, znajdzie w nas wszystkich obrońców.

— To bardzo możebne—rzekłem.

A Zygmuś dodał jeszcze:

— Odwiedza teraz całą naszą rodzinę po kolei. Każdemu stara się dogodzić i trafić do serca... ale nikomu się nie podobał, nikomu, nikomu!

— Tylko «iotce Raczkowskiaj i Sabci — odezwał się ponuro Mieczysław — a jemu o to tylko idzie.

— Ale, co ty mówisz! — zaprotestował Tyszler — ciotka wydaje Sabcię poprostu dlatego za Słyszakiewicza, żeby uratować swoją Korłowską Wolę.

— A Sabcia... — zaczął Zygmuś.

— Proszę was, o Sabci nie mówcie! — żachnął się Mieczysław z dziwnem rozdrażnieniem. — Gdyby się Sabci nie podobał, toby za niego nie szła.

— Jakżeż on się może podobać! — zakrzyczeliśmy go prawie jednomyślnie.

— Widocznie podobał się, skoro za niego idzie z dobrej woli.

— Ależ to pod wpływem ciotki!—protestował Zygmuś.

— Nie znacie Sabci, moi kochani! Ona nigdy niczyim wpływom nie ulega. Nie wiecie, jaki to samodzielny charakter u tej dziewczyny.

— A więc chyba się sprzedaje? — wyrwałem się niepotrzebnie.

Mieczysław poczerwieniał i zacisnął zęby. Po chwili rzekł chłodno:

— Bardzo cię proszę... o mojej kuzynce w ten sposób się nie wyrażać!

— Przepraszam cię bardzo. Nie chciałem uchybić twojej kuzynce. Pod wyrazem „sprzedawać się“ rozumiem wychodzenie za mąż za bogatego konku-

renta, dlatego, że jest „dobrą partyą“, t. j. dlatego, że bogaty. A taką dobrą partyę wszystkie prawie panny pragną zrobić.

— Nie wszystkie. A już najmniej Sabcia.

— Mówisz, jakbyś jej nie znał — rzekł Tyszler zwracając się do mnie.—Ale ty nie masz pojęcia, jaka to idealna istota! A przyznaj, że śliczna... jak zorza poranna!... te usteczka jej, jak wisienki, z tym uśmieszkiem rozkosznym... i te oczęta jasne, błyszczące, a takie rozumne...

— Jak czarodziejskie gwiazdeczki! — dodał Zygmuś—oderwać wzroku od nich nie można!

— Obaj z takim o niej mówicie zapałem — zauważyłem — jakbyście w niej obaj byli zakochani.

Zygmuś zarumienił się zlekka i zaśmiał basowym śmiechem dla kontenansu.

Zbiś Tyszler zaprotestował, ale zarumienił się także:

— Ach nie! Wiesz przecie...

— Że o innej marzysz gwiazdeczce?... No, no poeto! któż zaręczy, czy na tronie twego serca nowa nie zasiadła królowa...

— Nie obawiaj się tego, jam nie Heine...

— Tylko... Petrarka?

— Dajże pokój żartom... Ale gdy tę strunę potrącasz, to powiem ci, że mi nieraz przychodzi na myśl...

— Co? nowa miłość?

— Nie. Przychodzi mi na myśl, że Sabinka chyba dlatego idzie zamąż za pierwszego lepszego sąsiada, bo zakochana w kimś takim, za kogo wyjść nie może.

— W kim? — odezwał się Mieczysław, marszcząc czoło.

— Nie wiem; przypuszczam tylko, że chyba tak być musi, bo inaczej nie umiałbym sobie wytłumaczyć, dlaczego ulega ciotce i idzie za takiego Słyszakiewicza... Ona myśli: wszystko jedno, ten

czy ów! wyjść za mąż muszę, a skoro nie mogę wyjść za tego, za którego bym chciała, to wyjdę za tego, za którego mnie ciotka wydaje. Ciotka chce uratować od wierzycieli swoją ukochaną Wolę Korłowską, a Słyszakiewicz uratuje ją, bo za nią zapłaci, a ciotce zostawi dożywocie...

W tej chwili zapukano do drzwi.

— Proszę wejść!—zawołał Mieczysław.

We drzwiach ukazał się we wspaniałych niedźwiedziach i w bobrowej czapce pan Słyszakiewicz, a tuż za nim znana nam figura ze spłaszczonym nosem, p. eksporucznik Rybalczyk, jeden ze stałych gości Hawełki, z którym wczoraj zabrał tam znajomość narzeczony panny Sabiny.

Wchodząc, ściągnął p. Słyszakiewicz czapkę bobrową z głowy, strząsnął z ramion na podłogę niedźwiedzie futro i posuwając się naprzód w czarnym fraku, czarnych pantalonach, białej kamizelce i białym krawacie, wyciągnął na powitanie ku nam ręce, odziane w paliowe rękawiczki i pochylił na bok nieśmiało małą główkę z czołobitnym ukłonem. Różowa, okrąglutka twarzyczka uśmiechała się słodziutko, oczy malutkie czule spoglądały nam w oczy, suty złoty łańcuch od zegarka balansował tryumfalnie na baryłkowatym jego brzuszku. Poczem uścisnąwszy śpiesznie nasze dłonie, cofnął się krokiem baletniczym w tył i wyciągniętą ręką wskazując na swego towarzysza, zaprezentował:

— Mój przyjaciel i kuzyn, pan porucznik Rybalczyk!

V.

Po zaręczynach.

Rozmowa między narzeczonymi urwała się po raz czwarty.

Nie było możności jej nawiązać.

Całe towarzystwo, zasiadłszy przy długim stole, bawiło się wesoło, huczne śmiechy rozlegały się co chwila, a świeżo zaręczona para na małej kanapce w kącie salonu spogląda na siebie milcząco, nie wiedząc, o czem mówić ze sobą, nudząc się niepospolicie, nie śmiąc się rozejść, a czując instynktownie, że rozejść się nie wypada.

Zwieszając na bok mały swoj łebek na beczkowatym korpusie, p. Słyszakiewicz przechylał ku narzeczonej rumiane swe, okrąglutkie oblicze, rozjaśniał usta słodziutkim uśmiechem, który twarz jego pomarszczoną czynił podobną do rozduszonej figi, i przymilając się, mrugał świecącemi oczkami, wodząc niemi naprzemian po licach i postaci Sabinki, z góry na dół i z dołu do góry. Ona patrzyła wprost przed siebie, ale takim wzrokiem, który dozwalał się domyślać, że duszą daleko odbiegła od narzeczonego. Czasem na dźwięk jakiegoś przy stole głośniej wymówionego słowa, przelotnym błyskiem rozjaśniały się na chwilę jej źrenice i znów gasły

— Bardzo ładnie się świeci ten pierścioneczek na paluszku pani—odezwał się wreszcie narzeczony, po raz trzeci już w ciągu wieczora powtarzając komplement, stosujący się raczej do pierścionka, niż do panny.

Sabinka nic nie odpowiedziała, drgnęły tylko nerwy jej twarzy, a nieprzeparta chęć ziewnięcia silniejszą już się stawała od jej woli. P. Słyszakiewicz zaglądał teraz wprost w jej oczy; miała to uczucie, jakby ją hypnotyzował, zdawało jej się, że uśnie.

— Może weźmiemy udział w tej zabawie?— rzekła wstając. — Zna pan grę w litery? to bardzo zabawne.

Rozsunięto się, aby zrobić miejsce przy stole jej i panu Słyszakiewiczowi.

— Jakież teraz składacie wyrazy?—zapytała.

— Mitologia! — odrzekła Malcia Zaraniecka — tylko sama mitologia. Nie wolno innych wyrazów zadawać!

— A więc proszę o zadanie.

Staś Tyszler podał jej wybranych z pudełka kilkanaście liter.

— Ależ panu Słyszakiewiczowi trzeba dać zadanie! panu Słyszakiewiczowi!—wołały panny.

Słyszakiewicz się wzbraniał. Podała mu garść liter panna Malcia, panna Kasia, ale on się wymawiał, że tego nie umie.

— Niech panna Sabina mi da zadanie, to będę próbował złożyć.

Sabina, domyślając się słusznie, że mitologia jest dlań zapewne krajem nieznanym, nie chciała, aby się skompromitował w oczach jej rodziny i wybrała łatwy bardzo wyraz MINERWA.

Ustawiał i szykował p. Emil tych siedem liter na wszelkie możliwe sposoby, naprzód MANEWRI, potem zaczynał od MARNE... to od NIEMA... to znowu NERW..., ale *Minerwy* złożyć nie mógł. Może o niej nigdy nie słyszał. Złożywszy kilka liter w nowy szyk, zapytywał narzeczonej, czy dobrze odgaduje, a gdy mu powiedziała, że jeszcze nie wpadł na właściwy wyraz, układał dalej, wzdychając i stękając, jakby drzewo rąbał.

Ona tymczasem odgadywała zadanie po zadaniu, z nadzwyczajną łatwością.

Nagle wydał p. Emil okrzyk tryumfalny i chwytając narzeczoną za rękę, głośny na niej złożył pocałunek.

— Ja o tem wiem, ja wiem!—rzekł, czule robiąc miny, ja o tem nie wątpię.

— O czem pan nie wątpi?

Spojrzała zdziwiona na niego, a wtem spostrzegła na stole litery te ustawione w wyraz: WIERNAM.

Nie mogła powstrzymać śmiechu.

Odgadła jeszcze zadany jej przez Zbisia wyraz *Prozerpina* i rzekła:

— Możeby już dać pokój mitologii i inne układać wyrazy.

— Teraz imiona i nazwiska — wołała Antosia Zielska, patrząc na Stasia Tyszlera.

— Ale nie z powieści—spoglądając na Zygmusia Zaranieckiego, wołała jedna z Tyszlerówien.

— Byle nie zbyt trudne — prosiła Frania Zaraniecka, zerkając boczkiem na Czesia Zielskiego.

Sabinka spiesznie wybierała potrzebne jej litery z pudełek i rozdawała na prawo i na lewo zadania. A że wyrazy przez nią były obmyślone sprytnie i zawierały różne dowcipne docinki i aluzye, wszyscy kuzynkowie dopominali się po kolei o zadania do rozwiązania. Obdzielała ich wszystkich, dodając niby dla ułatwienia w kilku słowach charakterystyczne określenie osoby, której nazwisko trzeba było odgadnąć.

Zgłosił się po zadanie i Mieczek Zielski.

Wysypała mu do wyciągniętej dłoni kilkanaście czcionek:

— Łatwo będzie kuzynkowi odgadnąć, bo to twój ideał.

Błysk jakiś przelotny ożywił jego rysy, usiadł przy stole i zaczął litery układać w wyrazy.

— Czy to jeden wyraz? — zapytał, nie mogąc sobie dać rady z zadaniem.

— Nie, dwa wyrazy.

— Imię i nazwisko?

— Nie powiem. Proszę odgadnąć. Łatwo, bo to *ideał* kuzynka.

Odgadł wkrótce. Litery dane mu przez Sabinkę utworzyły słowa: KASA POŻYCZKOWA.

Przykre jakieś uczucie odbiło się w jego oczach, jakby się czuł boleśnie dotkniętym.

— A teraz ja kuzynce dam zagadnienie—rzekł, szukając w pudełkach potrzebnych mu liter.

— Proszę bardzo.

— Oto są. Liter siedemnaście. Łatwo odgadnąć, bo to *skarb najdroższy* kuzynki.

— Skarb najdroższy?—powtórzyła śmiejąc się— czy to jeden wyraz?

— Nic nie powiem. Skarb najdroższy.

Zabrała się do pracy. Ale tym razem nie wiodło się jej. Przerzucała litery, zmieniała ich porządek, układała w pojedyncze zgłoski, aby z nich następnie całość ułożyć, to tę, to ową stawiała na początku, ale wszystko napróżno, całość złożyć się nie dała.

— Nie mogę. Niech mi kuzynek powie co dla ułatwienia.

— Wszak dość powiedziałem, że to kuzynki skarb najmilszy, najdroższy.

— O, skarbie ty mój najdroższy, najmilszy — powtarzała śmiejąc się srebrnym śmiechem—czemu ja ciebie odgadnąć nie mogę?

Podparła główkę na obu ramionach, przechylona nad stołem, coraz nowe wymyślając kombinacye i nucąc z cicha:

— Mój ty skarbie najdroższy... Być może przypomniała jej się zaczynająca się od tych słów smutna piosenka, którą tak pięknie Kasia Zielska śpiewała. „Mój ty skarbie najdroższy“—coraz smutniej brzmiały w jej ustach te słowa.

— Nie, nie mogę, nie mogę. Kasiu, siądź koło mnie, może ty mi pomożesz.

Kasia słynęła ze sprytu w tej zabawie. Usiadła przy Sabince i zaczęła z nią wspólnie odgadywać zagadkę. Młodzież skupiła się wkoło nich, z po za ich krzeseł patrząc na przesuwane przez Kasię litery. Dziewczęta, siedzące naprzeciwko, z drugiej strony stołu, podniosły się z krzeseł i oparte na stole łokciami, przechyliły główki, aby się przyglądać tej robocie. Oczekiwanie i cisza, pośród której Sabinka czasem zanuci:—Mój ty skarbie najdroższy...

— Ależ to nic łatwiejszego! — zawołała nagle Kasia i szybko przesuwając litery drobnemi paluszkami, jakby niemi przebiegała po klawiaturze for-

fepianu, ułożyła dwa wyrazy — imię i nazwisko: MIECZYSŁAW ZIELSKI.

— Mieczysław Zielski!—powtórzono chórem.

Sabinka wstrząsnęła się, jakby uderzona prądem elektrycznej bateryi, oblała się rumieńcem, urwała w połowie nuconą piosnkę: „Mój ty skarbie najdroższy“, odwróciła głowę i z wyrazem pełnym bolesnego wyrzutu spojrzała na Mieczysława, który stał za jej krzesłem. W jednej chwili oczy jej napełniły się łzami, dwie strugi spłynęły po twarzy i spazmatycznym wybuchając płaczem, zerwała się i wybiegła do drugiego pokoju.

Wszystko to stało się tak nagle, że wobec niespodziewanego zajścia w pierwszej chwili nikt sobie z niego nie umiał zdać sprawy. Zaległa chwilka milczenia—potem zaczęły się odzywać różne wykrzykniki zaniepokojenia, ubolewania, oburzenia.

Mieczysław stał w miejscu, jak osłupiały, wpatrzony nieruchomo na ułożone przez Kasię na stole jego nazwisko, tak, jakby pierwszy raz w życiu je obaczył.

— Obraziłeś ją! — rzekł, przystępując do niego Zbiś Tyszler.

— To żart za daleko posunięty! — powiedział Bolesław.

— Co za wiele, to niezdrowo!—dodał doktór.

— Wstydź się! — rzekł najstarszy z rodziny, Tadeusz.

— To niegodnie! — odezwał się Zygmuś Zaraniecki.

— Jak mogłeś! — z żalem wymawiał mu profesor.—Co sobie narzeczony pomyśli!

Na szczęście narzeczony nie był obecnym przy całej tej scenie, zajęty rozmową w małym gabinecie z panią Raczkowską, która wciąż nowe stawiała wymagania i warunki, dotyczące dożywocia, jakie miał jej zapewnić, kupując jej majątek.

A zarzuty, sypiące się ze wszystkich stron na

głowę Mieczysława, nie ustawały, owszem, zaostrzały się coraz bardziej.

— Idź-że ją przeprosić! — rzekł mu przyjaźnie Zbiś.

Mieczysław milczał i swoim zwyczajem targał złotą swą bródkę, nieruchomo wpatrzony w ułożone na stole własne nazwisko.

Oprzytomniał wreszcie i rzekł:

— Bądźcie łaskawi i posłuchajcie!... Pozwólcie mi się usprawiedliwić!

— Tu niema usprawiedliwienia!

— Palnąłeś głupstwo i koniec!

— Takich żartów się nie robi z uczciwą dziewczyną!

— A tembardziej z krewną!

— Ależ moi drodzy, ja tego nie zrobiłem! przysięgam wam, że nie zrobiłem!

— Cóż więc? kto litery odmienił?

— Nikt, nikt nie odmienił, te same są litery, co do jednej te same wszystkie! Ale ja, podając je Sabinie i mówiąc, że to jej *skarb najdroższy*, miałem na myśli jej narzeczonego. Ani mi przez myśl nie przeszło, aby z tych samych liter i moje i jego nazwisko dało się ułożyć. Patrzcie!

Tu przestawiwszy litery, które składały nazwisko *Mieczysław Zielski*, ułożył z nich: EMIL SŁYSZAKIEWICZ.

— Emil Słyszakiewicz!—zawołano z wyrazem zdziwienia.—Ktoby temu był uwierzył!

I zaczęto się garnąć do Mieczysława, aby go przeprosić za niesłuszne zarzuty.

Ale Mieczysław nie czekał na to. Wymknął się coprędzej z pokoju.

W całem mieszkaniu swej matki nie mógł znaleźć panny Sabiny. Obszedł wszystkie kąty, raz i drugi i znalazł ją wreszcie w ciemnej framudze okna, ukrytą za firanką. Czoło miała przyciśnięte do szyby. W świetle latarni błyszczały łzy w jej oczach.

— Sabinko — rzekł głosem, drżącym od wzruszenia — przyszedłem cię przeprosić!

I pochwycił ją za rękę.

Wyrwała rękę z jego dłoni i chciała odejść.

Zagrodził jej drogę, zatrzymał gwałtem.

— Na wszystko święte, zaklinam cię! dwa słowa tylko! na pamięć twojej matki!

Zwróciła na niego swe oczy i nawpół z płaczem, wpół gniewnie, ale nie kładąc tamy uczuciom, które rozsadzały jej łono, mówiła szybko:

— Czem ja zasłużyłam na taki postępek?... ach, na takie szyderstwo!... Mogłeś nie widzieć, nie domyślać się, przejść mimo mnie, jakby mnie nie było na świecie... Mogłeś mi dać poznać, choćby najboleśniej, jak to zrobiłeś tyle razy, że ci jestem obcą, wstrętną... mogłeś mnie zostawić memu losowi na przepadłe!... ale zdeptać, wyszydzić w ten sposób, w tak ohydny sposób... uczucie, które mi było święte!... Com ja ci zawiniła? podać mnie na pośmiewisko!... czy to uczciwie?...

Łzy nie dozwoliły jej mówić więcej.

— Sabinko! dwa słowa ci powiem, a wszystko odwołasz, coś powiedziała! Podałem ci nazwisko twego narzeczonego, a Kasia z tych liter złożyła nazwisko *moje*. Czyż mogłem to przewidzieć? Przekonaj się sama, że nasze nazwiska z tych samych składają się liter.

— Prawdę mówisz?... prawdę mówisz?—pytała niedowierzająco.

— Prawda święta!... A gdybym się był domyślał, gdyby najlżejszy cień domysłu powstał był kiedy w mej duszy, że mi jesteś życzliwą, że masz dla mnie coś więcej od uczucia siostry... Sabinko, nie ten Słyszakiewicz, ale świat cały nie byłby cię wyrwał z mego objęcia! Kochałem cię, szalałem za tobą, ale bałem się wyznać ci to, aby takiem wyznaniem nie narazić na utratę poufałego stosunku brata i siostry. Im goręcej ku tobie biło mi serce, tem więcej osłaniałem je pozorami chłodu i oboję-

tności. Nie miałem ani iskierki nadziei, abym mógł posiąść twoją wzajemność... Sabinko! Sabinko! Więc ty mnie kochasz?...

Nie potrzebowała odpowiadać. Czytał odpowiedź w jej oczach, w jej uśmiecha, w drżeniu jej ramion, które objął swojemi.

— Kochasz?—pytał ciągle, jakby niedowierzając swemu szczęściu—kochasz?...

— Ach!...—i więcej powiedzieć nie mogła, tuląc się w jego objęcia.

Dwoje ust złączyło się pocałunkiem, rozkosznym jak obietnica, jak nadzieja, jak pewność szczęścia.

. . . . . .

Mieczysław wprowadził Sabinkę do saloniku: patrzyła z po za łez rozpromieniona i błyszcząca szczęściem. Młode towarzystwo ze zdumienia oniemiało. Zapanowała cisza.

Mieczysław blady, uroczysty, patrząc na drzwi pokoju, w którym siedziała ciotka Raczkowska ze Słyszakiewiczem, wymówił cicho:

— Moja narzeczona.

Powstał szmer, zapowiadający burzę radości.

Kasia szybko zamknęła drzwi.

— Ty, ty niedobra, chciałaś nas porzuć i uciec... i z kim?...

— Jeżeli mnie pan Mieczysław nie chciał—szepnęła Sabinka.

— Nie chciał? on szaleje za tobą, czytałam to w jego oczach!

Całe młode pokolenie, wypełniając salonik szmerem radości i podziwu, otoczyło parę narzeczonych.

Zbiś rzucił się Mieciowi na szyję.

— A co? czy nowela moja nie ma prawdopodobieństwa?—zawołał tryumfująco.

— Biegnijcie po mamę — wołała Kasia.—Dopiero to będzie radość.

Dziewczęta tuliły do siebie Sabinkę, powtarzając:

— Odzyskana!... nasza kochana odzyskana!...

Cała ta scena odbywała się cicho, prawie szeptem ze strachu przed ciotką Raczkowską i Słyszakiewiczem.

Wprowadzona przez Zosię weszła pani Zielska. Sabinka rzuciła się z płaczem w jej objęcia, Miecio przypadł do nóg matce, całując jej kolana.

Wzruszenie opanowało wszystkich. Dziewczęta płakały z radości, młodzież nie mogła prawie mówić, a wszyscy cisnęli się do rąk pani Zielskiej.

— Przecie! nareszcie! — powtarzała, tuląc do piersi Sabinkę. — Ja jedna odgadłam miłość Miecia do ciebie. Oczy matki nie mylą. Nie zwierzając się sobie, cierpiałyśmy razem.

— I nic nie mówiłaś, ciociu? A ja go tak kocham... życie nasze byłoby męczarnią.

Potok łez zdusił jej głos.

— Twoja uroda, nazwisko, stosunki, majątek, ciotka Raczkowska zamykały mnie i Mieciowi usta.

— Pojmuję dumę Miecia — mówiła dalej pani Zielska—i jeszcze więcej kochałam go za to... Lecz gdy zobaczyłam Słyszakiewicza, oburzenie moje na Raczkowską co chwila silniej wzrastało, a do ciebie, moje dziecko, czułam głęboki żal i...

— Ciotka Raczkowska wiedziała o mojem przywiązaniu do pana Mieczysława—nerwowo przerwała Sabinka.

— I co ci mówiła?

— Że niema żadnej nadziei, że... że... pan Mieczysław nie chce na mnie patrzeć.

— Wiedziała również o uczuciach Miecia! sama jej o tem mówiłam!... A mnie powiedziała, że niema żadnej nadziei, abyś go kiedykolwiek pokochała.

Powstał ogólny szmer oburzenia.

— Jesteśmy na kulminacyjnym punkcie — szepnął Zbiś, a w duchu dodał:—Tak samo, jak w mojej noweli.

— Cóż teraz?—zapytała Kasia. — Co mamusia zrobi ze Słyszakiewiczem i ciotką Raczkowską?

— Ja się boję ciotki—szepnęła Sabinka.

Główkę przytuliła do pani Zielskiej, rękę wyciągnęła do Mieczysława.

— Brońcie mnie—prosiła.

— Wszyscy, wszyscy będziemy cię bronili—zawołano chórem.

— Jeżeli chcecie, w tej chwili Słyszakiewicza wyzywam na pojedynek—pochwycił Zbiś.

— Jestem cicha i łagodna—odezwała się pani Zielska—lecz mam dość sił i odwagi bronić swych dzieci. Chodźcie za mną!

Ujęła wpół Sabinkę. Wystraszone dziewczę trzymało silnie za rękę Mieczysława.

Cała gromadka postąpiła w zwartej kolumnie do drzwi. Zbiś je otworzył na rozcież.

Raczkowska zbladła. Słyszakiewicz zarumienił się i słodko uśmiechnął. Pewny był przyjemnej niespodzianki lub wesołego żartu.

Nastała denerwująca cisza. Pani Zielskiej z oburzenia i gniewu głos zamierał w gardle.

— Przedstawiam ci moją córkę—zaczęła cicho—moją synowę—dodała głośniej.

Sabinka odzyskała energię, patrząc na wystraszonego Słyszakiewicza.

— Mój narzeczony—rzekła, wskazując Mieczysława, ściągnęła z palca pierścionek i podała go ogłupiałemu Słyszakiewiczowi.

Przytulona do pani Zielskiej, ciągnąc za sobą Miecia, wyszła z niemi z pokoju, otoczona uszczęśliwionymi krewnymi.

Drzwi zostawiono otwarte, młodzież patrzyła, Słyszakiewiecz stał z pierścionkiem w ręku, utkwiwszy wzrok w towarzyszkę...

Ciotka Raczkowska usiłowała zemdleć, płakać, rozpaczać, krzyczeć... Nie mogła. Jak piorunem rażona, milczała ponuro. Czerwone płatki, przesuwające się po jej bladej twarzy, świadczyły o wewnętrznem wzburzeniu.

— Więc to były kpiny!—zawołał Słyszakiewicz.

Ton jego głosu zmienił się z łagodno-słodkiego w ostry, krzykliwy, ekonomski.

— Więc to były kpiny—powtórzył—a zarazem łapka, aby mnie podejść i nędzną paniną wioszczynę wepchnąć mi za drogie pieniądze na dożywocie?... Szczęściem kontrakt nie podpisany!

Odetchnął.

— Więc to była *lapa!*—krzyknął—i za tę lapę ja zapłaciłem?... Droga, hotel, ubranie frakowe, wyszukiwanie krewnych i znajomości, kolacye, szampany, fundy, pożyczki, pierścienie, dorożki... A za wszystko wstyd, śmiech, upokorzenie, hańba... Tak, hańba! bo wszyscy żydzi w miasteczku drwić ze mnie będą... Dziękuję pani!

— Panie Emilu!—Raczkowska wyciągnęła błagalnie ręce.—Panie Emilu, tu mnie oszukano!

— W wieku pani nie należało się dać oszukiwać. Zostań pani ze swoją Korłowską Wolą i niech was piorun trzaśnie, *nio!*

Odetchnął.

— Drwiny ze mnie, ze mnie, Emila Słyszakiewicza, który się dorobił czterystu morgów ziemi i trzydziestu tysięcy gotówki!

Schwycił bobrową czapkę, wypadł do przedpokoju, zarzucił na ramiona niedźwiedzie, trzasnął drzwiami.

— „Wiernam“—powtarzał na schodach—„wiernam“... Kazała mi składać litery na *wierna*... I nie szelmy te kobiety? Prawdę mówi Pyzdrakowska. „Wiernam“!... ha... ha!—zaśmiał się piekielnie...

Ciotka Raczkowska została sama wobec zbitej w drugim pokoju gromadki rodziny Tyszlerowsko-Zielskiej.

Długą chwilę trwało zawieszenie broni, zanim ciotka oprzytomniała i nabrała rozpędu do walki.

Powstała, zbliżyła się do progu, mierząc dumnym wzrokiem nieprzyjaciela.

— Dziekuję wam—odezwała się wyniośle.

Młodzi ludzie się skłonili, dziewczęta dygnęły.

Ciotka w ukłonach tych odczuła szyderstwo. Brwi ściągnęła, stała wyprostowana i dumna, patrząc na Sabinkę.

— Rzuciłaś taką świetną partyę!—rzekła z goryczą i żalem.—I cóż cię tu czeka?...

— Szczęście—odpowiedziało dziewczę.

— Winszuję ci!...

Młodzi ludzie skłonili się, dziewczęta dygnęły.

Gniew ciotki kipiał.

— Szczęście uciech mieszczańskich, szczęście pospolitości mieszczańskiej! A wiesz, coś ty rzuciła?

— To, co Sabinka rzuciła — przerwał Zbiś — może ciocia podnieść, wydając się sama za Słyszakiewicza.

Po twarzy Raczkowskiej przemknęła błyskawicą myśl.

— Gdyby mnie tylko chciał—zawołała.

— Spróbować... Nie będzie potrzebował płacić drogo dożywocia.

— Cicho—krzyknęła na Zbisia. — Zrzekam się opieki nad Sabinką!

— Sabinka do chwili ślubu zostaje w moim domu—oświadczyła pani Zielska.

— Jutro przysłać po jej rzeczy!...

Zatrzymała się, nabrała w płuca powietrza i wybuchnęła:

— *Dotąd* mam was... mieszczany. I nie zobaczycie mnie więcej!

— Zobaczymy przy ołtarzu ze Słyszakiewiczem —zawołał za odchodzącą Zbiś.—Do widzenia!...

Rodzina została sama.

— Skończone! — szepnęła radośnie pani Zielska.—Chodźcie moje dzieci bliżej, tu do mego ser-

ca, niech was przytulę i pobłogosławię. Teraz dopiero jestem spokojna o los i przyszłość Miecia... i szczęśliwa—dokończyła cicho.

— Jesteśmy nareszcie sami—zawołała z entuzyazmem Kasia—*odzyskana* wśród nas. Cieszmy się, bawmy, radujmy! Mamusiu, Sabinko, Mieciu! jakże mi dobrze, jak okropnie dobrze! serce z radości chce mi wyskoczyć.

— I nam! i nam!—wołano dokoła.

— A cóż się dopiero dzieje w sercu Sabinki?—pomyślmy tylko!—szczebiotała dalej Kasia—ona tak kocha naszego Miecia!... a co w jego sercu?... Boże... Boże!... Jakże musiał rozpaczać, widząc przy Sabci takiego Słyszakiewicza!... Podziękuj mi, bom to ja pierwsza z liter Słyszakiewicza złożyła twoje imię i nazwisko!

Miecio ją porwał, podniósł i ucałował.

— A co się dzieje w sercu ciotki Raczkowskiej?—odezwał się wesoło Zbiś.—Rzuciłem w to biedne serce iskrę!... W tej chwili płonie stos ognia efektu dla Słyszakiewicza. Jestem prawie pewny, że się pobiorą... I gotowy nowy temat do noweli... Mieciu, nie powiesz przecie, że *nieprawdopodobny?*

Młodzież zaśmiała się wesoło.

— Cieszmy się i radujmy! rozkoszujmy szczęściem—powtarzała entuzyastycznie Kasia.

— *Odzyskana*, ucałuj nas!

— Ucałuj—wołały dziewczęta.

KONIEC.

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Kielcach

SPIS RZECZY.

Str.

Tajemnice Pani Krzuckiej 5

Odzyskana. Nieprawdopodobna nowela 95

WYCIĄG Z KATALOGU

BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH

Do nabycia w Administracyi „**BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH**“ (Warszawa, Warecka № 14), w Filii Kantoru „**GAZETY POLSKIEJ**“ (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1903.

Tom		CENA w oprawie kop.	CENA brosz. kop.
261, 262.	PAMIĘTNIKI PREZYDENTA KRÜGERA. Przekład J. Paszkiewiczówny i A. Morzkowskiej.	80	50
263, 268, 273.	**Mikołaj Rey** ŻYWOT CZŁOWIEKA POCZCIWEGO. „*Biblioteka pisarzy polskich*“ tom I, II i III.	120	75
264, 265, 266.	**Paweł Bourget**. PO SZCZEBLACH. Powieść.	120	75
267.	**Artur Oppman (Or-Ot)**. POEZYE.	40	25
269, 270.	**Jenerał de Wet**. TRZY LATA WOJNY O NIEPODLEGŁOŚĆ. Przekład M. G.	80	50
271, 272.	**Bret Harte**. OSTATNIE NOWELLE. Przekład W. Zyndram Kościałkowskiej.	80	50
274, 275.	**Bogdan Jaxa Ronikier**. PROMIENNA TOŃ. Powieść.	80	50
276, 277.	**André-Bellessort**. PODRÓŻ DO JAPONII, SPOŁECZEŃSTWO JAPOŃSKIE. Przekład J. P.	80	50

Tom		CENA w oprawie kop.	CENA brosz. kop.
278.	**Bolesław Biernacki.** BIURALIŚCI. Powieść	40	25
279.	**Włodzimierz Trąmpczyński.** ALBANIA I MACEDONIA, KRAJ I LUDZIE.	40	25
280.	**M. Domańska.** CICHA MOC. Powieść.	40	25
281.	**Jan Kochanowski.** DZIEŁA. *„Biblioteka pisarzy polskich“* tom I.	40	25
282, 283.	**Maurycy Jókai.** CZARNA KREW. Powieść, przełożyła B. Jaroszewska.	80	50
284.	NOWELE AMERYKAŃSKIE. Nagrodzone na konkursach, przekład Emilii Węsławskiej.	25	40
285, 286.	**George Sand.** OSTATNIA Z ALDINICH. W przekładzie i z przedmową Kazimierza Kaszewskiego.	80	50
287.	**Cecylia Walewska.** HISTORYA DZIECI. Powieść.	40	25
288.	**Aleksander Kielland.** KAPITAN WORSE. Powieść, przełożyła Józefa Klemensiewiczowa.	40	25
289.	**Ostoja.** NAD MORZEM. Nowelle.	40	25
290.	**Edmund Bogdanowicz** (Nix). PAN ZAGŁOBA i DYOGENES.	40	25
291, 292.	**Th. Roosewelt**, prezydent Stanów Zjednoczonych. ŻYCIE HODOWCÓW AMERYKAŃSKICH.	80	50
293.	MILIONY. Nowelle żydowskie. Przełożył Jerzy Ohr.	40	25
294, 295.	**Edward Rod.** DAREMNE WYSIŁKI. Powieść. Tłómaczyła J. P.	80	50
296.	**Jan Kochanowski.** DZIEŁA. *„Biblioteka pisarzy polskich“.* Tom II.	40	25
297, 298.	**Multatuli.** MAKS HAVELAAR. Tłómaczyła Br. Neufeldówna.	80	50
299.	**Juliusz Piasecki.** WALKA. Powieść.	40	25
300, 301.	**Andrzej Bonnefons.** SPRZYMIERZENIEC NAPOLEONA, FRYDERYK AUGUST. Przekład Zofii Przyborowskiej.	80	50
302, 303.	**Conan Doyle.** PIES BASKERVILLE'ÓW. Powieść. Przełożyła Br. Neufeldówna.	80	50
304.	**E. Gebhart.** PRZY DŹWIĘKU DZWONÓW. Legendy. Przekład z francuskiego M. R.	40	25
305, 306.	**Antoni Miecznik.** CZTERY DNI. Powieść.	80	50
307.	**Jerome K. Jerome.** DZIENNIK WYCIECZKI DO OBERAMMERGAU. Przekład z angielskiego Emilii Węsławskiej.	40	25
308.	**Mikołaj Rej.** SPÓLNE NARZEKANIE NA NIEDBAŁOŚĆ NASZĘ. *„Biblioteka pisarzy*		

Tom		CENA w oprawie kop.	CENA brosz. kop.
	polskich". Tom IV.	40	25
309.	**Karolina Swietla.** OSTATNIA PANI GŁOGOWSKA. Powieść. Przekład M. Cz. Przewóskiej.	40	25

Rok 1904.

310, 311, 312, 314, 315, 316.	**Z. Kaczkowski.** OLBRACHTOWI RYCERZE. Powieść historyczna z przedmową Władysł. Jabłonowskiego.	240	150
313.	**Hans Leuss.** Z WIĘZIENIA PRUSKIEGO. Z przedmową Włodzimierza Trąmpczyńskiego.	40	25
317.	**T. Roosevelt,** prezydent Stanów Zjednoczonych A. P. ŻYCIE WYTĘŻONE. W przekładzie i z przedmową Ludwika Włodka.	40	25
318.	**Anatol France.** HISTORYA KOMICZNA. Powieść. Przekł. Emilii Węsławskiej, z przedmową Wł. Jabłonowskiego.	40	25
319.	**Kazimierz Gliński.** OBRAZKI Z PRZESZŁOŚCI, z przedmową Henryka Gallego.	40	25
320, 321, 322.	**Henryk Brandt.** PAMIĘTNIKI OFICERA POLSKIEGO. Przekład M. G., z przedmową prof. Szymona Askenazego.	120	75
323.	**Iwan Wazow.** WYBÓR NOWEL. Przekład Józefy Anc.	40	25
324, 325.	**Deotyma.** SOBIESKI POD WIEDNIEM.	80	50
326, 327.	**Wilhelm Depping.** JAPONIA.	80	50
328, 329.	**Grazia Deleda.** PO ROZWODZIE. Przekład Wili Zyndram-Kościołkowskiej. Powieść.	80	50
330.	**Wiktor Doleżan.** MANDŻURYA.	40	25
331.	**Jerzy Leueven.** H. IBSEN. W tłómaczeniu A. Kordzikowskiej z przedmową Władysława Jabłonowskiego.	40	25
332, 333.	PAMIĘTNIK EX DZIEDZICA z dopiskami ex pachciarza, zebrali X. Y. i Y. Z. Powieść.	80	50
334.	**Werner Siemens.** WSPOMNIENIA Z MEGO ŻYCIA. Spolszczone przez M. S., z przedmową G. Tołwińskiego.	40	25
335.	**Fr. von Eeden.** MAŁY JANEK. Z przedm. i tłom. F. L. Lubodziecka. Powieść.	40	25
336.	**Eliasz Metschnikoff.** STUDYA NAD NATURĄ LUDZKĄ. Streścił D-r E. B.	40	25
337.	**Stanisław Pilecki.** HISTORYA UBOGIEJ PANNY. Powieść.	40	25

Tom		CENA w oprawie kop.	CENA brosz. kop.
338, 339.	**Maurycy Barrés.** WYRWANI Z GRUNTU OJCZYSTEGO. Przekład I. P. z przedmową Wł. Jabłonowskiego. Opowieść.	80	50
340, 341.	**Marya Ratuld-Rakowska.** PODRÓŻ POLKI PO PERSYI. Z przedmową T. Jaroszyńskiego.	80	50
342, 343.	**Maurycy Jókaj.** BIAŁA DAMA Z LIWOCZY. Przekład B. Jaroszyńskiej. Powieść.	80	50
344.	NOWELLE FRANCUZKIE. Przełożyła M. Rakowska.	40	25
345. 346.	**M. Czerny.** DNO LETY. Powieść.	80	50
347, 348.	**Edmund Demolins.** POTĘGA WYCHOWANIA. Przekład z francuzkiego.	80	50
349	**Jonasz Lie.** ULWUNGOWIE. Kartka z księgi namiętności	40	25

12/1660/44
1/2
40000,

WYZSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
257345

Biblioteka WSP Kielce
0046274